

adeste⁺

Miesięcznik młodych katolików

NR 25 | PAŹDZIERNIK 2019

ISSN 2544-7424

Cyber

Kościół

jutra

www.adeste.eu



Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca:

Stowarzyszenie Adeste, KRS: 0000759020

Redaktor naczelny:

Bartłomiej Wojnarowski – bartlomiej.wojnarowski@adeste.eu

Zastępca Redaktora naczelnego ds. jakości:

Piotr Bogdanowicz – piotr.bogdanowicz@adeste.eu

Zastępca Red. nacz. ds. harmonogramów:

Laura Korzeniowska

Sekretarz redakcji:

Krzysztof Działlik – krzysztof.dziallik@adeste.eu

Redaguje zespół w składzie:

Nina Małgorzata Kogut (sekretarz miesięcznika), Konrad Myszkowski (kierownik portalu adeste.eu), Antonio Akmadża, Jan Buczyński, Marcei Hejwowski, ks. Mateusz Kopa, Szymon Kozieja (kierownik działu kultura i społeczeństwo), Piotr Ulrich

Współpracownicy:

Mateusz Bednarek, Jan Borowski, Natalia Cywińska, Wojciech Gałek, Patryk Kępczyński, Piotr Krajski, Krzysztof J. Namysłak, Tymoteusz Pyda, Joanna Smarzyńska, Dorota Ślęczek, ks. Dawid Sebastian Tyborski, Jakub Urbaniak, Olga Wachowiec, Krzysztof Wojtyra, Marcin Worek.

Kadra techniczna:**Okładka, grafiki promocyjne i opieka nad serwerem:**

Tomasz Łukasik

Skład gazety w rozszerzeniu .pdf:

Maria Ulman

Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub oraz główny webmaster adeste.eu:

Maciej Laskowski

Statystyk Adeste:

Mateusz Kosson

Grafik miesięcznika:

Joanna Miśkiewicz

Rysownik i art-designer:

Zofia Bryłka

Dział korekty:

Kinga Grodzka (kierownik działu korekty), Dorota Białecka, Anna Róża Kuncewicz, Michał Przekwas, Dorota Szewczak (korekta portalu), Magdalena Węglarz, Mikołaj Wolanin, Aleksandra Żak.

Dział rozwoju i promocji:

Anna Piontek (kierownik działu rozwoju i promocji) – promocja@adeste.eu, Mateusz Bartkiewicz, Norbert Bryłka, Zofia Bryłka, Agnieszka Jarmułowska, Tomasz Leszczyński, Tomasz Łukasik, Tomasz Puszczyk, Piotr Władysław Sudoł.

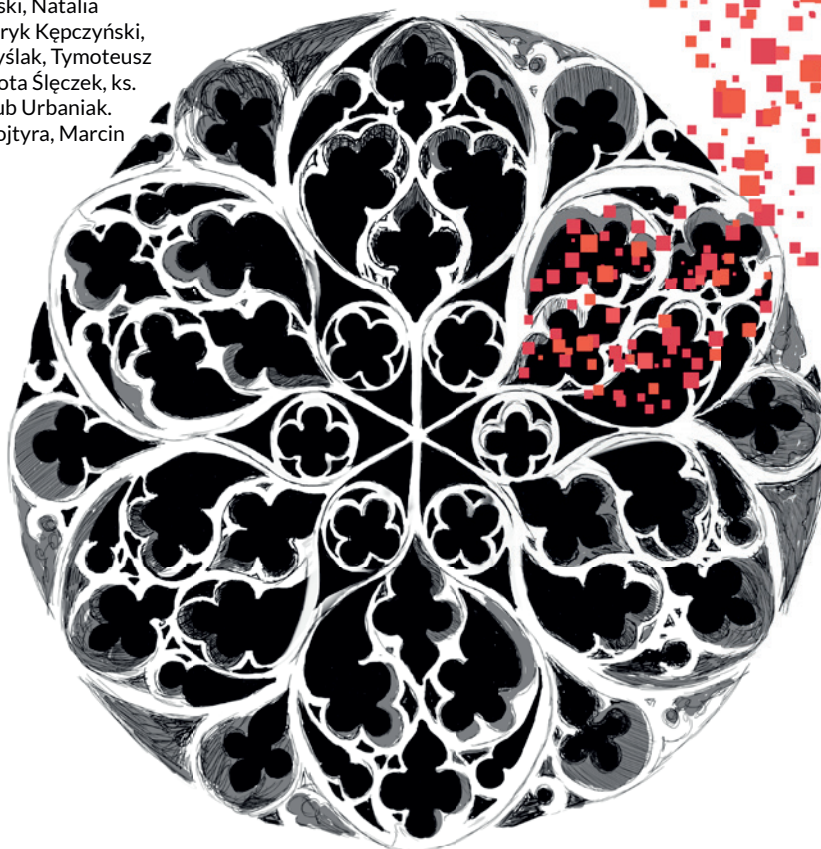
Konsultacja teologiczna:

Katarzyna Mich i Michał Ryłko

Post-korekta:

Joanna Miśkiewicz i Dominika Tomaszewska

A także każdy, kto modlitwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

O obronie wiary w internecie

Marcin Worek 4

„Przyjechali z interioru ludzie do stolicy...”

Marceli Hejwowski 7

Internet 2.0, Kościół 1.1

Tomasz Łukasik 11

Jak żyć w świecie mediów?

Piotr Ulrich 17

Historia walki z pedofilią w Kościele katolickim, cz. IV – czas pontyfikatu papieża Franciszka

Olga Wachowiec 20

Jest źle, będzie źle, ale lepiej nie było

Jan Borowski 28

Kościół a prawo do posiadania broni

Antonio Akmadża 32

Transhumanizm a filozofia: komentarz do artykułu V. Possenti

Marcin Worek 38

Listy Pielgrzyma

Tomasz Leszczyński 41

Czy atomy potrafią myśleć?

Jan Borowski 42



"Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki"
Hbr 13,8

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika „Adeste”!

Jakiś czas temu od bliskiej osoby otrzymałem książkę o intrygującym tytule: Cyberteologia. To dzieło znanego publicysty i teologa Antonia Spadaro. Nieco ponad dwieście stron razem z bibliografią nie robi może wielkiego wrażenia, ale już sama tematyka intryguje. Włoch przekonuje, że sieć, technologia i rozwój cybernetyki to nie tylko pewna cecha naszej cywilizacji. Świat wirtualny zmienia społeczeństwa, nawyki i strukturę ludzkiego mózgu, a nawet teologii. Spadaro twierdzi, że internet przestał być jedynie klasycznym internetem informacji, ale stał się także rozwiniętym internetem rzeczy. Sieć stanowi po prostu miejsce, w którym żyjemy.

Wspomniana książka to nie tylko świeży głos w tematyce, która staje się dla nas realnym wyzwaniem, ale także odważne wskazanie, że rozwój technologiczny w tak zawrotnym tempie jak obecnie może postawić młodych katolików przed ścianą poważnych pytań.

Pytania o zdanie Kościoła w dziedzinie transhumanizmu, miejsce wierzących w społeczeństwach, gdzie manipulacja, także przez nowe techniki wideo (deepfake), wchodzi na nowy niebezpieczny poziom bądź moralne aspekty tworzenia androidów (robotów przypominających cechami ludzi) przestają być już jakimś teologicznym freestylem, grą myślową, a stają się poważnymi dylematami.

Dlatego w najnowszym, 25. numerze miesięcznika poruszymy temat Kościoła jutra. Redaktorzy „Adeste” zapytają, czy transhumanizm i bieg w kierunku ciągle nowych technologii nie doprowadzą do kolejnych kryzysów wiary w naszych społeczeństwach i znów nie zmuszą do postawienia pytania o miejsce Boga w świecie.

Niezależnie od tego, co nas czeka w przyszłości, jak będzie wyglądała nasza cywilizacja i gdzie poprowadzi nas rozwój technologiczny, wierzymy: On jest. Nie opuści swojego Kościoła, nie opuści ludzkości, a jego Słowo się nie zdezaktualizuje. Wierście Mu, a stanie się Waszą podporą. Nawet w czasach, w których człowiek zdaje się czcić własny rozwój.



Z darem modlitwy +
Bartłomiej Wojnarowski
Redaktor naczelny miesięcznika „Adeste”



O obronie wiary w internecie



Marcin Worek

„Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb! A Ja wam powiadam: Nie stawiajcie oporu złemu. Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi! Temu, kto chce prawować się z tobą i wziąć twoją szatę, odstęp i płaszcz! Zmusza cię kto, żeby iść z nim tysiąc kroków, idź dwa tysiące!” (Mt 5,38). Okoliczności życia społecznego nie zmieniły się tak bardzo – fakt, doszło do przemian cywilizacyjnych, ale schematy ludzkich zachowań są dokładnie takie same. Z czym chrześcijanie mierzą się dziś w internecie? Jak radzić sobie z trollami? Dlaczego nie warto odpowiadać na polityczne zaczepki wrogów naszej wiary? Postaramy się odpowiedzieć na te pytania.

Niejednokrotnie w rozmowie z przyjaciółmi zwracaliśmy uwagę, że choć cywilizacja zrobiła co najmniej kilka kroków naprzód w sferze prawnej, politycznej, technologicznej, społecznej i ekonomicznej, to

akurat w kwestii moralności pozostaliśmy niemalże dokładnie tacy sami. Trawią nas identyczne problemy. Przyjmują – zdaje się – inną postać, bo zmieniły się okoliczności im towarzyszące, trzon jednak pozostaje ten sam.

Obrażanie w internecie nadal jest takim samym złem jak powiedzenie komuś czegoś obelżywego w twarz. Publikowanie złośliwych prowokacji politycznych, nagonki na chrześcijan, a także trolling wcale nie

pojawiły się tylko dlatego, że stworzyliśmy internet. Co niektórzy, wzdychając do starych czasów, rzucają: „Ach! Kiedyś to było!”. W tym sęk, że nie było. Ludzie byli takimi samymi chamami, złośliwcami, potrafili się innym naprzykrzać swoimi prowokacjami i nękaniami. Po prostu nikt tego nie nazywał trollin-giem.

Istota mechanizmu

Najpierw trzeba sobie zdać sprawę z tego, jak działają mechanizmy obrażania, trollowania i prowokowania w internecie. Stoi za nimi oczywiście całe mnóstwo intencji, jednak trzon jest zawsze ten sam – sprowokować do zjadłej dyskusji, akcji odwetowej bądź po prostu wyrzucić siebie frustrację poprzez powiedzenie komuś czegoś nie-miłego. Stąd na manifestacjach czy Facebooku nietrudno znaleźć różne złośliwe połączenia symboli religijnych z genitaliami bądź flagami ideologii z nimi sprzecznych.

Czy coś takiego może posłużyć jako akcja manifestująca poglądy, chęć przekonania do nich i środowisk ich reprezentujących? Jakiegokolwiek akcje polityczne by to nie były, one zawsze rządzą się prawem pragmatyzmu w odniesieniu do adresatów. Oznacza to tyle, że ludziom



prezentuje się to, co oni potencjalnie chcą usłyszeć. W pewnym sensie to jest taka „kietłaba”, ale nie „wyborcza”. Jeśli więc ktoś obraża swoich adresatów, to z całą pewnością nie chce ich do niczego przekonać. Nie chcą nikogo przekonać środowiska LGBT parodiujące Mszę Świętą i wizerunek Matki Bożej, ani też nacjonaliści skandujący hasła pokroju „zakaz (wiadomo czego – przyp. autora)” pod adresem homoseksualistów. Wszystko to są plemienne zachowania ubrane w płaszcz sprawnie zorganizowanych akcji politycznych.

Jeśli obrona, to jaka?

W teorii obrona jest złożona z dwóch etapów: wytrzymać napór wroga, po czym stosownie odpowiedzieć na jego atak. Jednak czy w tym przypadku jest w ogóle jakiś sens w wytrzymywaniu naporu? Czy my w ogóle mamy przed czym się opierać? Zastanówmy się – pewna osoba w internecie publikuje dziecinny obrazek przedstawiający Chrystusa złączonego z genitaliami (kto śledzi co i jak w internecie, ten wie, o kim mowa). Dlaczego twierdzę, że dziecinny? Bowiem normalnie poważni ludzie nie

rzeźbią bądź nie domalowują członków. Jest to na tyle niepoważne i żenujące, że nie trzeba dłużej się zastanawiać, by z tego zrezygnować. Ktoś, kto jednak decyduje się na tego typu zachowanie, ma jakiś cel. Jest nim zwykle „zmącenie wody w stawie”. Ot, trochę osób się zdeenerwuje, ktoś napisze pozew sądowy, który i tak zostanie odrzucony przez małą szkodliwość społeczną, a fani trolla będą mu gratulować pomysłowości i inteligencji. Wcale nie chodzi więc o przekonanie kogoś do czegoś, tylko po prostu o podburzanie swojej grupy wzajemnej adoracji przeciwko innym.

Czy nie jest trochę tak, że ludzie, którzy, chcąc bronić wiary w internecie, w rzeczywistości dają się manipulować trollom? Tak to niestety wygląda. „Nie rzuca się pereł przed świnię”, toteż tak samo nie ma sensu udział w awanturach, pisanie długich wywodów, które wszyscy zignorują albo wyśmieją. Co Chrystus robił, gdy tłum chciał go porwać i rzucić z klifu? Przeszedł między nimi. Nie dał się wplątać. Albo gdy faryzeusze organizowali pułapki intelektualne – nie grał w grę postawionymi przez nich pionkami. Bo Chrystus nie był graczem, dla którego ustawiono pionki. Chrystus był szachownicą. Był uosobieniem zasad gry. To On ustalał jej reguły

i decydował o tym, co jest dobre, a co nie jest.

„Przyobleczcie pełną zbroję Bożą [...]”

Św. Jan Maria Vianney stwierdził kiedyś: „Jeśli w twojej obecności powiedziane jest coś nieżyczliwego, mów tak, by dopowiedzieć to, czego brakuje, nie mów wcale albo jeśli możesz, to zakończ rozmowę”. W pewnym sensie można powiedzieć, że ktoś w tej sytuacji musi być mądrzejszy. A kto działa mądrzej: osoba prowokująca bezsensowne spory czy ta, która rozpoznaje złośliwca i odstępuje jak najszybciej od sprzeczki bądź, jeśli sprzyjają temu okoliczności, wspomina tylko krótko to dobro, które nie zostało wypowiedziane?

Mężna obrona wiary nie oznacza, że ma być ona nie-mądra i pozbawiona namysłu. Odwaga bez rozsądku to nie-umiarkowanie i brawura. Ciężko mówić o brawurowym spieraniu się z kimś w internecie, chociaż znajduje ono swoje ujście w specyficznych poglądach co niektórych chrześcijan. Powołują się oni na rzekomą agresję maho-metan w obronie ich religii i próbują aplikować tę metodę do swojej wiary. Jest to zachowanie całkowicie sprzeczne z nauczaniem Chrystusa, który zachęcał

do, potocznie mówiąc, „bycia mądrzejszym” niż ci, którzy bezmyślnie odpowiadają pięknym za nadobne.

Często przeciwnicy nauk Jezusa mawiają, że „nadstawianie drugiego policzka” to zwykła słabość. Nic bardziej mylnego. To jest właśnie siła, bo ja nie muszę grać w czyjąś grę. Jestem ponad tą grą. Chrystus mnie umacnia i uzdalnia do tego, by tak było. Emocje podpowiadają mi, by komuś odpowiedzieć, dokuczyć tak, jak on mnie dokuczył. Ale mam w pamięci, że granie w grę głupich ludzi czyni mnie podobnym do nich. Chrystus swoim przykładem uczy nas, byśmy zawsze doszukiwali się przyczyny czyjegoś zachowania, znali podtekst. Nie inaczej wygląda to w przypadku internetu.



źródło: unsplash



„Przyjechali z interioru ludzie do stolicy...”



Marceli Hejwowski

Niebezpieczne. Siejące zamęt. Nadużywane. Wykorzystywane w służbie manipulacji. Codzienną swą liczebnością przytłaczające odbiorców mediów masowych. Niewytłumaczone, nieobjaśnione pojęcia i *bon moty*. Smuci mnie niezmiernie, że również Kościół w swym dyskursie zdaje się rezygnować z ich objaśniania oraz dekodowania. I sam takie zwroty stosuje.

KAI (Katolicka Agencja Informacyjna) w tekście *Prymas Polski: Kościół nie jest twierdzą* umieściła ten oto fragment: „Mówiąc mój Kościół, moja parafia, nie możemy zamykać się w sobie. Kościół to nie twierdza, w której można schronić się przed tym złym światem. Jezus nie zatrzymuje przecież swych uczniów za zamknięty-

mi drzwiami Wieczernika, ale udzielając im swego Ducha, posyła na świat”. Słowa te wypowiedział abp Polak, a sam tytuł jest ciekawym cytatem z jego wypowiedzi, w której dodał, by wychodzić ze swoich „wieczerników” na peryferia, które posiada każda parafia. Dostrzegają państwo dziwny (zamierzony albo przypadkowo zastosowa-

ny) chwyt? Nie jesteśmy jako Kościół „twierdzą”, a więc w domyśle nie jesteśmy zamknięci na świat – „ten zły świat”. Bardzo nie podoba mi się użycie pojęcia „twierdza” jako czegoś negatywnego, niegodnego katolika. Przecież twierdza może być bazą wypadową dla tych, którzy idą w świat, by pozyskiwać ludzi...



źródło:unsplash

Zostawmy jednak to niefortunne, nieco niejasne sformułowanie, a przejdźmy do trudnego słowa „peryferie”. Jego popularność w mówieniu o duszpastersztwie jest spowodowana *bon motem* papieża Franciszka wypowiedzianym w 2013 roku podczas orędzia na Światowy Dzień Misyjny. Jego Świątobliwość zachęcał w nim do wyjścia na peryferie wiary.

Czym są peryferie? *Uniwersalny słownik języka polskiego* PWN podaje trzy znaczenia: „a. dzielnice miasta położone daleko od centrum; krańce miasta; suburbium [...] b. zewnętrzna część czegoś (w przeciwień-

stwie do części centralnej) [...] c. przen. coś mniej ważnego, drugoplanowego”. Interesują nas dwa ostatnie znaczenia.

Czymże zatem są peryferie wiary? Chodzi o członków wspólnoty jakby mniej istotnych, mniej przykuwających uwagę, lecz nadal znajdujących się w tej wspólnotcie. Nie będą to ludzie niewierzący; pozostają nimi natomiast osoby pograżające się w zwątpieniu, osuwające się w przepaść niewiary. Będą to też, jeśli posłużymy się definicją „c”, katolicy znajdujący się blisko jądra katolicyzmu, ale niezaaangażowani w jego działalność. O kogo więc chodzi?

Myślę, że wielu jest ludzi, którzy wierzą, chodzą co niedzielę albo i częściej do kościoła, wspierają katolickie inicjatywy, ale przystępują do Komunii Świętej przykładowo tylko raz w miesiącu, po spowiedzi pierwszopiątkowej. Podobnie jest z ludźmi, którzy wierzą i często modlą się, lecz nie robią nic w kierunku przełożenia swojej wiary na codzienne życie.

Osobiście lubię w tym kontekście słowo „interior”, które w pierwotnym znaczeniu (łacińskim i angielskim) oznacza coś centralnego, we wtórnym (polskim) jest jednakże synonimem słowa „peryferie”.

Na peryferiach wiary może znaleźć się zatem ministrant sumiennie wypełniający swą służbę, ale nieprzyjmujący Komunii Świętej (co wynika z nieprzystępowania do spowiedzi świętej). Będzie to też organista śpiewający wprowadzie poprawie, nawet pięknie, ale niemodlący się sercem. Tak samo ksiądz zamykający się jedynie w ramach tego, co obowiązkowe. Peryferia to również ci, którzy budują słowem i modlitwą swoich współbraci we wspólnocie, ale postępują hedonistycznie w życiu codziennym. Przynależć do nich może oczywiście też człowiek coraz rzadziej chodzący do kościoła, opuszczający niedzielną mszę świętą.

Jakby się poważnie nad tym zastanowić, to coraz więcej ludzi tak ma. Paradoks, panie Hejwowski, powie ktoś – obrzeża przeważają swą masą nad rejonami centralnymi. Tak, bo centrum to jądro, a jądro zazwyczaj jest mniejsze od reszty komórki. Wydaje mi się, że w wyjściu na peryferie nie chodzi o pozyskiwanie tych ludzi, którzy nie wierzą w zmartwychwstanie ciała (62% Polaków wg danych CBOS z 2017 roku) i na Wielkanoc przychodzą tylko na święcenie pokarmów. Ważniejsze od tego jest dostrzeżenie, że ci, którzy na zewnątrz wydają się być blisko, w swoich sercach mogą być daleko.

Chodzi o konsolidację centrum tak, by było ono w stanie przyciągać wątplących – o ewangelizację wierzących tak, by mogli powrócić do pierwotnej świętości, o dostrzeżenie, że Kościół w Polsce jest w odwrocie. Że może mieć wpływ jedynie na te 40-50%, które chodzi do kościoła co niedzielę. I że większość z tych *dominantes* (czyli ludzi chodzących do kościoła w niedzielę, ale nieprzyjmujących Komunii Świętej) to nie są wierni i niezłomni wyznawcy, ale właśnie interior wiary.

Jeśli hierarchowie w Polsce tego nie dostrzegą, sytuacja będzie się pogarszała. Nikt nie wie, jak się rozwinie, ale czas będzie działał na niekorzyść liczby członków Kościoła. Trzeba usprawnić komunikację, porzucić *bon moty* na rzecz klarowności świętego Tomasza z Akwinu (chodzi mi o przejrzystość formy, jaką posługiwał się dominikanin) i odrzucić myślenie w tonie „jesteśmy silni” na rzecz brutalnego realizmu. Wiem trudno jest przyznać się przed samym sobą, że stare, dobre czasy minęły. Łatwiej zarozumiale powtarzać: „świątynia Pańska, świątynia Pańska, świątynia Pańska, świątynia Pańska!” (Jr 7, 3b) i „oto jesteśmy bezpieczni!” (por. Jr 7, 10). Ale Pan Bóg takim mówi: „Odrzucę was sprzed mego oblicza, podobnie jak odrzuciłem wszystkich waszych



braci, całe pokolenie Efraima” (Jr 7, 15). To wielka lekcja, którą muszą przejść duchowni i świeccy strzegący owczarni w Polsce. Cóż za korzyść z pasterzy, którzy nie wiedzą, ile mają owiec i co one aktualnie robią?

A co my możemy z tym zrobić? Ktoś się zaśmieje: „pan, panie Hejwowski, ma dobrze. Napisze o tym artykuł, skrytykuje, kogo trzeba i już ma czyste sumienie”. Otóż nie. Jak każdy

z nas, mam wielkie zadanie na każdy dzień – zadbać o tych, na których mam wpływ. O ludzi, z którymi przykładowo spotykam się co tydzień w ramach przyparafialnej wspólnoty. Może ktoś z nich ma kryzys wiary i potrzebuje rozmowy? Może współbracia pokłócili się między sobą i trzeba ich pogodzić? Może po prostu moi podopieczni lub bracia potrzebują mojego czasu niezależnie od sytuacji, w której się znajdują? Może trzeba zwy-

czajnie wykonać cotygodniową orkę? (Nie chodzi mi o „zaoranie lewaka”, ale budowanie relacji i pomoc we wzrastaniu w wierze.)

Wspólnota to jedno – warto nie zapominać o bliźnich, których spotykamy w szkole, na studiach, w pracy... Wśród nich też są ludzie wierzący. Oni również mogą potrzebować pomocy. To chyba najcięższy egzamin – wesprzeć kogoś w wątpliwościach.

Reasumując – dwie rzeczy. Musimy przemyśleć naszą komunikację z innymi wierzącymi. Czy jest klarowna? Czy nie stosujemy w wierze, w duszpaństwie skrótów myślowych, słów-wytrychów, których *de facto* nikt nie rozumie? Poza tym wykażmy się wyobraźnią i troską o innych. Czy ci, którzy są przy mnie, nie potrzebują pomocy? Czy w tych, którzy zdają się blisko Boga, nie wypala się płomień wiary?

I wychodźmy na peryferie wiary. Ale miejmy na to wyjście plan, świadomość celu, nie idźmy „na spontana”. Bo inaczej to nie wyjdzie.



źródło:unsplash



źródło:unsplash

Internet 2.0, Kościół 1.1



Tomasz Łukasik

Internetowe duszpasterstwa Facebooka, spowiedź i sakramenty on-line, msze święte VR, komunika drukowana przez drukarki 3D i błogosławieństwa przez Skype'a. Jak będzie wyglądać Kościół 2.0? Czy jesteśmy o krok w tyle za technologią przyszłości? Czy w erze internetu jest miejsce na liturgię i kontakty międzyludzkie? Gdzie są granice cyfryzacji?

Wielki krok dla ludzkości

Jest 20 lipca 1969 r. W czasie gdy Watykan jeszcze ostygł po gorących obradach soboru, oczy całego świata zwrócone są na trójkę amerykańskich lunonautów, którzy na pokładzie modułu księżycowego, wyniesionego raketą Saturn V, lądują na powierzchni srebrnego

globu. W przeddzień wyprawy papież Paweł VI ofiarował Amerykanom złotą tabliczkę z cytatem z Psalmu 8, która to wraz z flagą Stanów Zjednoczonych oraz kilkoma innymi pamiątkami została umieszczona na nowo zdobytym lądzie. W swoich przemówieniach Ojciec Święty niejednokrotnie wyrażał wielkie uznanie dla niezwykłego

postępu nauki i technologii. Bez wątpienia wielki krok dla ludzkości otworzył nową erę naszej cywilizacji. Również dla Kościoła katolickiego rozpoczął się zupełnie nowy okres trudnych pytań i niepewnych odpowiedzi. Po stokroć przebiliśmy pychę budowniczych wieży Babel, sięgając tego, co do tej pory uważaliśmy za boskie. Czy jeśli



Papież Paweł VI ogląda lądowanie na księżycu

źródło: Archiwum Obserwatorium Watykańskiego

postawiliśmy nogę na Księżycu, istnieje dla nas coś niemożliwego? Dokąd zaprowadzi nas tak dynamiczny postęp?

Zjednoczenie i rozwój

I mamy postęp! Pierwsi ludzie właśnie postawili nogę na Księżycu, komputery stają się codziennością w branży naukowej, a telewizja dociera do najdalszych zakątków ziemi. Mass media zaczynają wieść komunikacyjny prym w społeczeństwie. W krajach kapitalistycznych odbiornik TV stał się już standardem, a codzienne wiadomości oglądają z uwagą miliony osób. Jedno jest pewne – obieg informacji nigdy nie był tak szybki i bezpośredni. Technologiczna rewolucja nie mogła jednak minąć się z głosem Kościoła. Przemysł telewizyjny nabierał rozmachu. Z ekranów telewizorów

bombardowała nas już nie tylko seksualna rewolucja w stylu Marilyn Monroe, ale również dziesiątki amerykańskich programów rozrywkowych wątpliwej jakości oraz tanich talk-shows. Dotychczas silny głos księży, głoszących prawdy wiary z kościelnych ambon, został zagłuszony krzykiem telewizyjnych spikerów. Niespełna dwa lata po sukcesie NASA powołano w trakcie soboru Papieską Komisję ds. Środków Masowego Przekazu postanawia zabrać głos. Został wydany dokument pod nazwą *Communio et Progressio* (łac. 'zjednoczenie i rozwój'). Miał on za zadanie postawić Kościół katolicki przed wyzwaniem, jakim są nowoczesne środki masowego przekazu oraz zaakcentować swoje miejsce w dynamicznie rozwijającej się branży mediów. Co prawda, Radio Watykańskie oraz pomniejsze drukowane

media liczyły już sobie ponad trzydzieści lat, niemniej jednak w perspektywie ogromnych dokonań technologicznych dokument ojców Kościoła zdawał się rozpaczliwą próbą dogonienia postępu, który z każdym kolejnym dniem stawiał Watykan w roli goniącego peleton. W czasach, gdy świat dawał zwodzić się amerykańskiej popkulturze, Kościół otrząsał się z posoborowego letargu. Na powstanie Vatican Media, oficjalnego organu medialnego Kościoła, musieliśmy czekać aż do 1983 roku. Czy zatem Kościół jest w tej materii zaściankowy?

Life Is Worth Living

Mimo iż centrala wyznawców Chrystusa była w tyle w stosunku do głównych mediów, nie oznacza to, że Kościół w nich nie występował. Wręcz przeciwnie: katolicy sami zaczęli wtłaczać swoją wiarę w erę nowej technologii. Końcówka lat osiemdziesiątych XX wieku należała bez wątpienia do katolickich mediów w Ameryce. Podczas gdy wschodnia Europa zmagająca się z ideologicznym marksizmem, skromna zakonnica z Alabamy wytoczyła prawdziwą artylerię przeciwko szerzącej się fali bezwartościowych treści w stacjach telewizyjnych głównego nurtu. Telewizja EWTN, czyli wielkie dzieło po-



abp Fulton J. Sheen podczas nagrywania telewizyjnego show

źródło: Catholic News Agency

wstałe z inicjatywy matki Angeliki OCPA z zakonu Klarysek od Wieczystej Adoracji. Global Catholic Network z prawdziwego zdarzenia pokazał Amerykanom, że Kościół katolicki jest ważnym graczem w dziedzinie światowych mediów. Profesjonalne programy telewizyjne, studia nagraniowe, reportaże, wywiady, a nawet serwis informacyjny – poziom, na jakim były prowadzone działania w EWTN, był wyraźną konkurencją dla ówczesnych mass mediów. Jeśli możemy domniemywać, w jaki sposób ojcowie soboru widzieli wykorzystanie nowoczesnych technologii komunikacyjnych, z pewnością dzieło matki Angeliki spełniało ich wizję w 200%. Dziś telewizja ta ma swoje oddziały na całym świecie (również w Polsce) i dla wielu jest najważniejszym katolickim me-

dium (Wywiad z ks. Piotrem Wiśniewskim, dyrektorem polskiego oddziału telewizji EWTN, ukazał się w 18. numerze „Adeste”).

Jednak nie tylko matka Angelika odniosła medialny sukces. Świetnym przykładem i do dziś niedoścignionym wzorem katolickiego influencera lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia jest abp Fulton John Sheen. Jego audycja *Life is Worth Living*, która gościła na antenie jednej z amerykańskich stacji telewizyjnej, biła rekordy popularności. Był to cykl wykładów na różne tematy prowadzony przez biskupa na żywo. Młodzi (i nie tylko) katolicy mogli otrzymać odpowiedzi na nurtujące ich pytania, poznać naukę Kościoła w przystępnej formie, a nawet wysłuchać porad doty-

czących codziennego życia i prozaicznych wyborów. Bez wątpienia sługa Boży Fulton Sheen pojął i wykorzystał potencjał technologiczny nowoczesnych mediów na długo przed soborem i *Communio et Progressio*. Telewizyjne show nowojorskiego hierarchy było pierwszym krokiem do tego, aby nauczanie i Ewangelię wyprowadzić poza mury kościoła i przenieść je do katolickich domów – do wirtualnej rzeczywistości telewizyjnych odbiorników. Forma, w jakiej prowadzone było show, okazała się jednak bardziej ponadczasowa niż zakładano. Do dziś retransmisje programu w serwisie YouTube zyskują kolejne dziesiątki tysięcy wyświetleń, a książkowe wydania homilii Fultona Sheena nie schodzą ze sklepowych półek.

Pandy, langusty i Kościół w internecie.

Patrząc na sukces katolickich mediów w Stanach Zjednoczonych, wydawać by się mogło, że Kościół na dobre oswoił się z nowymi technologiami i skutecznie przeniósł ewangelizację w cyfrowy świat. Rozwój technologii i informatyki po raz kolejny podniósł jednak poprzeczkę. Oto pod koniec XX wieku pojawił się i spopularyzował Internet. Początkowo nowa, globalna i niekontrolowa-



wana przez nikogo społeczność nie stanowiła zagrożenia dla głównych konsorcjów medialnych. Oczywiście portale informacyjne i publicystyczne mnożyły się jak grzyby po deszczu, jednak były one tylko uzupełnieniem dotychczasowych środków przekazu. Przełom przyszedł w 2005 roku za sprawą serwisu YouTube. W ciągu niespełna dekady istnienia internetowy serwis wideo od „wujka” Google praktycznie na dobre wyparł klasyczną telewizję. Internauci porzucili dotychczasowe programy telewizyjne na rzecz internetowych show. Nie trzeba było już oglądać treści, które ktoś sztywno ustalił w harmonogramie ramówki stacji. Internet zaproponował nam prawo wyboru. Nowy bóg

społeczeństwa dał nam wolną wolę. I to właśnie ta wolność postawiła kolejne wyzwanie przed katolickimi mediami. Teraz, poza samą obecnością w nich, należało być jeszcze atrakcyjnym oraz na czasie. Wydawać więc się mogło, że telewizyjni kaznodzieje przejdą do lamusa. Otóż nic bardziej mylnego. Polski YouTube ma swojego Fultona Sheena. Ojciec Adam Szustak OP to niekwestionowany sukces polskiego Kościoła w mediach. Program *Langusta na Palmie* bije rekordy popularności i to nie tylko wśród ścisłej katolickiej publiczności. Niezwykle przyjazny i „dzisiejszy” styl ewangelizacji ma swoje odzwierciedlenie nie tylko w liczbie wyświetleń. Program dominikanina otrzymuje miesięcznie prawie 60 000 zł dotacji

poprzez serwis Patronite, gdzie społeczność może wspierać wybranych przez siebie twórców.

No właśnie... społeczność – słowo klucz. Jeśli mielibyśmy doszukiwać się źródła sukcesu, prawdopodobnie znajdziemy je tutaj. Nie bez powodu na początku tego akapitu nazwałem internet „globalną i niekontrolowaną przez nikogo społecznością”. Rzeczywiście sieć internetowa pozwoliła stworzyć nam wirtualne społeczności skupione wokół dowolnej tematyki. Wielu młodym osobom internetowe fora potrafią zastąpić realne znajomości i grupy przyjaciół. Dlaczego by więc nie wykorzystać tego zjawiska i nie stworzyć internetowego duszpasterstwa? Tak też zapewne

myślał o. Szustak, formalizując grupę swoich słuchaczy jako forum *Pandy Szustaka*. Internetowa grupa dyskusyjna jest obecnie jednym z największych polskich forów skupiających młodych katolików. Setki pytań dotyczących wiary, możliwość wymiany poglądów, rozmów na tematy ważne dla Kościoła oraz poznania podobnych sobie uczyniły grupę prawdziwym hitem. Co więcej, ma ona również swojego wirtualnego przewodnika duchowego, jakim jest właśnie dominikanin. Tak oto kolejny element działalności duszpasterskiej przeniósł się do sieci. Czy w takim razie możemy więc już mówić o pierwszym w Polsce e-duszpasterstwie?

Plusy dodatnie i plusy ujemne

Internet, jak każda nowa technologia, ma swoje wady i zalety. O ile wirtualna społeczność katolików niesie za sobą ogromny potencjał, o tyle łatwo jest również o zagrożenia. Jak możemy się domyślać, wspomniane wcześniej *Pandy Szustaka* nie są jedyną taką inicjatywą w sieci. Podobnych forów oraz grup (przynajmniej w polskim internecie) jest dziś jeszcze kilkanaście, kilkadziesiąt, a może i kilkaset. Ba! Sam miesięcznik i portal „Adeste” swoją genezę ma w jednej z takich społecz-

ności. Jednak o ile ojciec Szustak może jakoś wpływać na to, co dzieje się na łamach forum, o tyle podobne inicjatywy są często pozostawione same sobie. Żyjemy w erze tzw. Internetu 2.0. Termin ten oznacza, że konsumowane przez nas treści tworzone są głównie przez społeczność. Czy to samo dzieje się właśnie z katolickim nauczaniem w sieci? Własny kościół, własne zasady – nowi wierni. Tak można podsumować to, co często dzieje się na forach. Niejednokrotnie można zauważyć, że zdanie osoby duchownej bądź posiadającej merytoryczne argumenty jest podważane przez anonimowych użytkowników. Ci zaś, zdobywając więcej polubień, mogą z powodzeniem przekonywać internetowych wiernych do swoich racji, twierdząc, że „to właśnie na myśli miał Jezus, mówiąc (tu wyrwany z kontekstu cytaty z Biblii)”. Dając nam nieograniczone możliwości budowania relacji, internet zabrał nam jednocześnie poczucie odpowiedzialności za wpływ umieszczanych treści na społeczeństwo. Luka w internetowych grupach, jaką niewątpliwie stanowi wszechobecna bezkarność, wykorzystywana jest coraz częściej przez religijny folklor, czyli skrajnych aktywistów kontrowersyjnych idei. Mowa tutaj zarówno o sedewakantystach, którzy przywołują niepo-

krywające się z rzeczywistością materiały mające świadczyć o tym, iż Ojciec Święty popadł w herezję, jak również o skrajnych modernistach doszukujących się w słowach papieża Franciszka otwartego przyzwolenia na błogosławienie związków homoseksualnych. Tak czy inaczej, właściwa nauka Kościoła zaczęła rozmywać się w morzu fake newsów tworzonych przez domorośłych teologów. Tym razem tweety papieża Franciszka i kolejne vlogi *Langusty na Palmie* mogą nie wystarczyć. Po raz kolejny więc Kościół musi przeciwstawić się wyzwaniu, jakim jest Internet 2.0. Ile więc warta jest internetowa modlitwa w erze wirtualnej ochlokracji?

Quo vadis Ecclesia?

I tak oto wkroczyliśmy w erę, w której społeczności są wirtualne, a teologia ustalana jest wśród anonimowych forumowiczów. Jednak internet to nie tylko świat wirtualnych rozmów. W ciągu ostatniej dekady nastąpiła gwałtowna smartfonizacja sfery społecznej. Technologia spowodowała prawdopodobnie nieodwracalne zmiany w postrzeganiu świata przez obecne pokolenie młodzieży. Według badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Gdańskim w 2016 roku blisko 90% osób poniżej osiemnastego roku ży-

cia posiada smartfony z dostępem do internetu, 86% korzysta z nich codziennie, a prawie 1/3 osób przynajmniej raz dziennie umieszcza w internecie swoje selfie. Smartfon pozwolił nam wziąć internet ze sobą i wyjść z nim na ulicę. Różnego rodzaju aplikacje towarzyszą nam w codziennym życiu, będąc niejako rozszerzeniem naszych zmysłów. Nie musimy się już martwić o znajomość topografii miasta, gdyż robi to za nas wirtualny przewodnik. Aplikacja ulubionego sklepu pomoże nam dopasować nowe ubrania, inna zamówi za nas jedzenie zgodnie z naszymi preferencjami, a tłumacz przeczyta za nas tekst znajdujący się na ulotce. Kościół musi więc nie tylko stawiać czoła zmianom społecznym, ale również wychodzić naprzeciw nowym technologiom. Coraz więcej mówi się również o wykorzystaniu tzw. VR/AR. W 2016 roku ogromną popularność zdobyła mobilna gra Pokemon Go, która wykorzystwała właśnie technologię AR (*augmented reality*, ang. 'rozszerzona rzeczywistość'). Miliony graczy spacerowały ulicami miast w poszukiwaniu wirtualnych zwierzątek, które pojawiały się na ekranach ich telefonów, a właściwie poza nimi. Facebook i Microsoft testują obecnie urządzenia, które mają wzmocnić ten efekt, wirtualizując nam

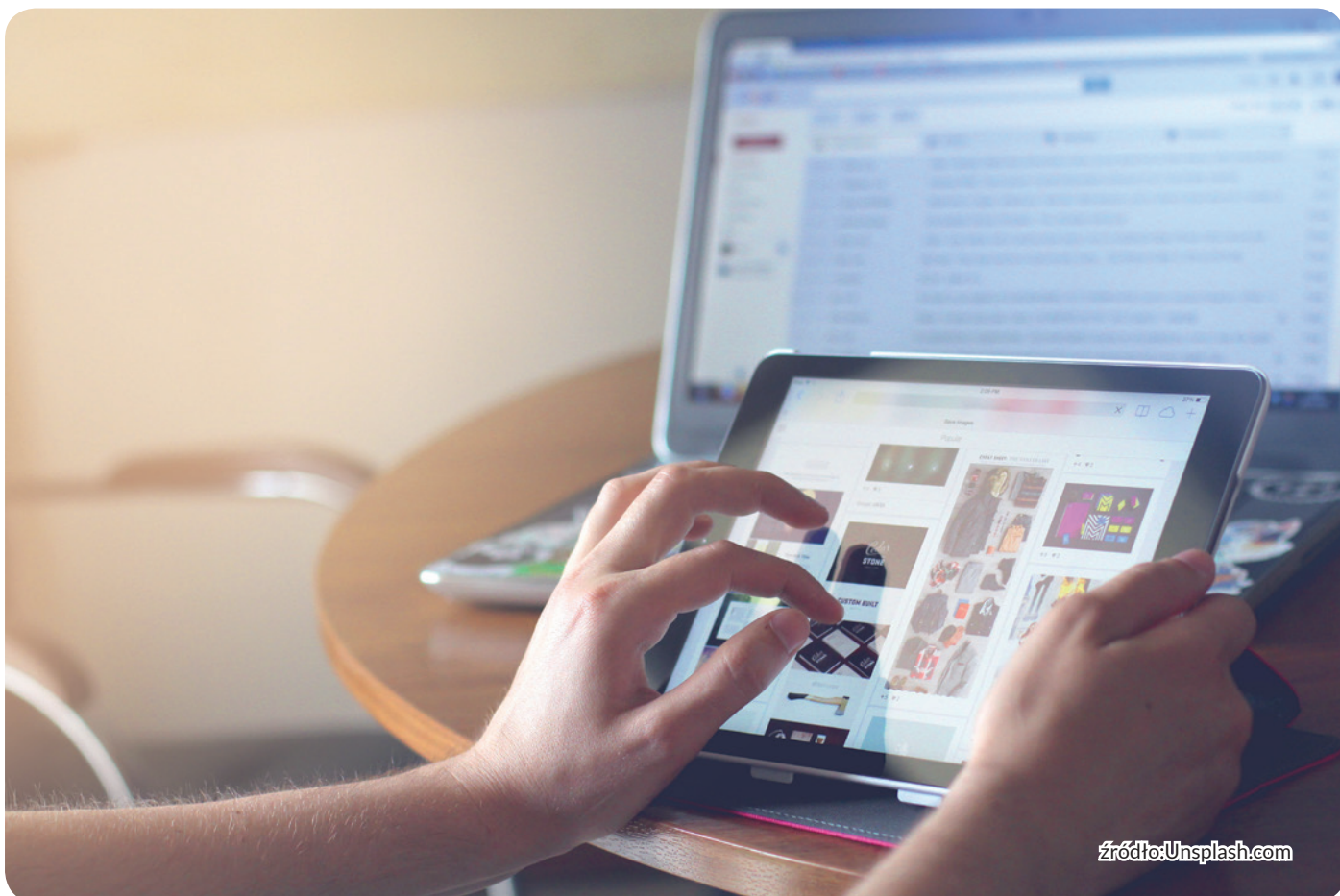
obiekty bez potrzeby używania smartfonów. Czy właśnie w tej technologii komunikacji Kościół powinien upatrywać swoją przyszłość?

Nowy wspaniały świat

Pielgrzymki z Google Maps do Santiago de Compostela, udział VR na mszy z Ojcem Świętym i Komunia wydrukowana samemu na domowej drukarce 3D – dziś taką wizję poczytalibyśmy bardziej za *fanfiction* niż realne dywagacje na temat przyszłości. Jednak jeszcze w 2000 roku internauci wyśmiewali wizję transmitowania wideo przez internet, a co dopiero

wyparcie telewizji. Mimo iż od przełomu milenium dzieli nas zaledwie jedno pokolenie, dziś takie stwierdzenia budzą w nas co najwyżej pocziwy uśmiech. Technologia rozwija się w niebywałym tempie. Ciężko przewidzieć, czym zaskoczy nas kolejny rok, nie mówiąc o następnych dwudziestu latach. Jedno jest pewne – jeśli Kościół będzie podążał za trendem, czeka nas prawdziwa rewolucja. Miejmy jednak nadzieję, że zgodnie ze słowami św. Pawła VI, technologia jest darem Bożym, który pozwoli nauce Chrystusa dotrzeć do każdego, a nowy, wspaniały świat nie okaże tym opisywanym przez Huxleya.





źródło: Unsplash.com

Jak żyć w świecie mediów?



Piotr Ulrich

Świat, który nas otacza i w którym żyjemy, oferuje nam wiele możliwości komunikacji – od form najbardziej tradycyjnych po te nowoczesne i mniej znane. Czy mogą być one w jakiś sposób niebezpieczne? A jeśli tak, na co zwracać uwagę podczas ich wykorzystywania? Katolikom narzuca się również pytanie – co wyznawca Chrystusa może uczynić z mediami? Na te oraz inne pytania odpowiedział dla „Adeste” ksiądz Łukasz Wiśniewski MIC – marianin, który komunikacji medialnej poświęcił pięć lat studiów, a obecnie kieruje Stowarzyszeniem Pomocników Mariańskich w Warszawie.

Piotr Ulrich: Jakie obecnie dostrzega Ksiądz role i funkcje mediów w życiu Kościoła?

x. Łukasz Wiśniewski MIC: Może zaczniemy od tego, że kiedy mówię o mediach, to mam na myśli wszystkie środki społecz-

nego przekazu, czyli zarówno te tradycyjne – prasa, radio, telewizja – jak i internet oraz media społecznościowe. Aby dobrze zrozumieć rolę i funkcje mediów w życiu Kościoła, moim zdaniem trzeba zobaczyć, jak Kościół postrzegał środki społecznego przekazu na przestrzeni ostat-

nich stu lat. Zaczęło się od podstawy dużej nieufności, warto wspomnieć komisje do oceny filmów pod względem stosowności dla katolików, wskazywanie na niebezpieczeństwa i zagrożenia. Z czasem jednak stosunek Kościoła do mediów ewoluował – cały czas świadomo-



my zagrożeń takich jak manipulowanie ludźmi oraz odciąganie ich od wiary i moralności, zaczął dostrzegać wielki potencjał. Jan Paweł II wspominał, że świat mediów to jeden z areopagów głoszenia Ewangelii. Dzisiaj wydaje mi się, że w większym stopniu wykorzystujemy go, aby głosić Słowo Boże i ewangelizować. Można narzekać, że jeszcze ciągle za mało, ale myślę, że to jest trochę jak ta ewangeliczna sól. Papież Benedykt XVI wspominał, że nie chodzi tylko o to, by wypełnić internet i w ogóle media treściami ewangelicznymi, ale przede wszystkim, by być człowiekiem wierzącym i dawać świadectwo. Media tradycyjne dzieliły na tych, którzy produkują treści i tych, którzy czytają,

śłuchają lub oglądają. Dzisiaj, w czasach internetu, każdy z nas może być producentem i odbiorcą jednocześnie. Stąd duża odpowiedzialność za słowo, którego używamy w jakichkolwiek mediach.

PU: Czy istnieją jakieś niebezpieczeństwa i obawy związane z mediami w życiu Kościoła?

x.ŁW: To oczywiste. Jak z każdym narzędziem, które może być wykorzystane dobrze lub źle. Jednym z zagrożeń jest zjawisko fake newsów. Powszechna dezinformacja dotyczy nie tylko wiadomości politycznych, społecznych i gospodarczych, ale także tych z ży-

cia Kościoła. Wiele razy napotykałam różne informacje, które są powtarzane bez sprawdzenia źródeł, bez zapytania osób zainteresowanych. To niebezpieczeństwo manipulacji, które pojawia się zarówno w mediach wrogich Kościołowi, jak i w tych związanych z nim. Oczywiście innego rodzaju zagrożeniem pozostaje uzależnienie się od środków masowego przekazu – telewizji, internetu. Kiedy nie potrafimy żyć bez informacji na temat innych ludzi, bez rozrywki serwowanej przez nowe media, nie jesteśmy w stanie przeżywać własnego życia na serio. Panuje w nim chaos, ponieważ nie nadążamy z przyjmowaniem informacji, które są nam podawane. Stąd rodzi się niebezpieczeństwo, że nie będziemy traktować poważnie żadnej docierającej do nas informacji, także tej dotyczącej Boga oraz Kościoła. Moją obserwacją, która rodzi pewną obawę, jest to, że pomimo szerokiej dzisiaj dostępności dokumentów Kościoła, i tak do nich nie sięgamy, lecz zaspokajamy się tylko opiniami dziennikarzy i komentatorów. Kiedy wychodzą nowe dokumenty papieża Franciszka, niewiele osób je czyta, ale większość ma już wyrobione zdanie, bo przeczytało kilkanaście opinii na portalach internetowych. Kiedy studiowałem w Rzymie, analizowaliśmy wypowiedzi medialne na temat papieża. Gdy

Franciszek powiedział coś, co mogło zostać odebrane liberalnie, choćby zdanie wyrwane z kontekstu, to od razu wszystkie media świeckie i katolickie szybko podchwytywały i czyniły z tego newsa. Jednak kiedy papież często mówił zdania mocno ortodoksyjne, np. o złu aborcji czy eutanazji, nikt nie podejmował w mediach tych wypowiedzi, nawet katolicy publicyści o każdej proweniencji.

PU: Jak oceniłby Ksiądz dotychczasowy wkład mediów nie tylko w życie Kościoła, ale także w kształtowanie obecnej cywilizacji?

x.ŁW: To jest bardzo rozległa kwestia. Oczywiście mam świadomość, że media kształtują życie Kościoła, bo są narzędziem ewangelizacji, informowania o życiu wspólnoty, pogłębiania wiary przez materiały dostępne w sieci. Jak wspominałem wcześniej, chodzi o to, żeby, jak mawiał Jan Paweł II, starać się tak głosić Ewangelię, aby było to zrozumiałe dla użytkowników mediów. Media zmieniają każdego z nas. Natychmiastowy dostęp do informacji, internet w kieszeni – jesteśmy nieustannie bombardowani wiadomościami i to nas kształtuje. Jeszcze dwadzieścia lat temu trzeba było czekać na wieczorne serwisy informacyjne, dzisiaj wystar-

czy wiadomość *push* na naszym smartfonie. To skraca dystans. Z jednej strony dzięki nowym mediom mamy możliwość być stale w kontakcie z innymi, ale mam wrażenie, że coraz mniej jest prawdziwych relacji międzyludzkich, a coraz więcej samotności, wyobcowania. I to jest wyzwanie dla nas, wierzących.

PU: Współczesny człowiek jest coraz częściej istotą medialną – możemy powiedzieć, że w każdym wymiarze. Jak w mediach odnaleźć Chrystusa? Jak media mogą wpływać na rozwój duchowy i emocjonalny człowieka?

x.ŁW: Bez wątplenia jesteśmy istotami medialnymi. Chrystus jest tam, gdzie jest człowiek, a pamiętajmy, że media są tylko narzędziami – bez ludzi media nie istnieją. To my decydujemy o tym, co będziemy wybierać i czy będziemy próbować wносить Chrystusa w świat mediów. Często wystarczy osobiste świadectwo, ważne, żeby zachowywać się po chrześcijańsku zarówno *offline*, jak i *online*. Zdrowe podejście do mediów, wiedza o ich funkcjonowaniu, zagrożeniach oraz szansach to jednocześnie ochrona przed manipulacją. Dojrzały użytkownik mediów sprawdzi trzy razy źródło, zanim poda dalej informację, która ma służyć innym.

PU: Gdzie, Księdza zdaniem, leży granica w użytkowaniu mediów w życiu człowieka? Doskonale widzimy, że często media wymykają się nam spod kontroli.

x.ŁW: Nie jestem zwolennikiem totalnego ograniczenia używania mediów. Nie jest sztuką odłączyć się od wszystkiego, co nas otacza. Jeśli chodzi o granicę, to wyznaczają ją zdrowy rozsądek i przykazania Boże. Każdy człowiek ma rozum, który powinien podpowiadać, czy jeszcze żyje się własnym życiem, czy już tym oferowanym przez media. One zawsze się wymykają spod kontroli, kiedy dochodzi do manipulacji, kłamstwa i zgorzsenia. Dużo zależy od dobrego przekazywania informacji. To jest wyzwanie dla wspólnoty Kościoła – ułatwianie wierzącym odnajdywania się w świecie tak, abyśmy wszyscy potrafili uczyć się od siebie nawzajem, słuchać wiadomości o Kościele, rozpoznawać dobro i używać mediów, spełniając misję oraz pozostając wiernym Ewangelii. To zadanie na najbliższy czas.

Ks. Łukasz Wiśniewski MIC – absolwent Papieskiego Uniwersytetu Świętego Krzyża w Rzymie, dyrektor Stowarzyszenia Pomocników Mariańskich w Warszawie.



źródło: Pixabay.com

Historia walki z pedofilią w Kościele katolickim, cz. IV – czas pontyfikatu papieża Franciszka



Olga Wachowiec

Kościół, będąc ostoją, budowlą osadzoną na Skale, trwa. Nieustannie zawieszając wysoko poprzeczkę w walce o świętość, staje się instytucją, od której się wymaga i której nie pozwala się nawet na potknięcia, nie wspominając już o upadkach. A niestety, tych upadków zdarzyło się bardzo, bardzo dużo... I to właśnie z nimi obecny biskup Rzymu, papież Franciszek, musi się mierzyć.

Następca Benedykta XVI walkę z pedofilią ustanowił jako jeden z priorytetów swojego pontyfikatu. Niespotykane zachowanie i odwaga papieża Franciszka szybko sprawiły, że znalazł się na celowniku mediów z całego świata, które codziennie obserwują jego poczynania i cytują jego słowa. Okazuje się,

że zarówno jego zachowania, jak i wypowiedzi utrzymane w ostrym tonie nie tylko trafiają w punkt, ale również wywołują wiele kontrowersji.

Decydując się na walkę z pedofilią i ochronę małoletnich, Ojciec Święty jednym z pierwszych swoich kroków jako papież

uczynił ustanowienie komisji ds. zwalczania pedofilii w Kościele. Wśród jej zadań znalazły się m.in. informowanie o stanie ofiar wykorzystywanych seksualnie oraz otaczanie ich wsparciem i opieką. Dodatkowo komisja została zobowiązana do wspomagania poszczególnych episkopatów w znajdowaniu

właściwych rozwiązań w sprawach dotyczących przypadków wykorzystania seksualnego. Organizacji tej powierzono również prace nad inicjatywami związanymi z walką z tym grzechem Kościoła oraz wzmocnienie systemu prewencyjnego.

W 2014 r. Komitet ONZ ds. Praw Dziecka opublikował raport, w którym skrytykował Watykan za bierność wobec przypadków księży-pedofili. Spotkał się on jednak z szybkim odzewem wyjaśniającym, iż informacje podane w dokumencie, choć prawdziwe, nie są już aktualne. Błąd ten spowodowany był faktem, iż w tamtym czasie Kościół katolicki przechodził wiele zmian w zakresie radzenia sobie ze wspomnianym problemem oraz jego postrzegania. W sprawozdaniu pozostały jednak również – mające uzasadnienie w przeszłości – zarzuty dotyczące przenoszenia oskarżonych kapłanów do innych parafii, odmowy udostępnienia informacji na ich temat, nietraktowania zachowań pedofilskich jako przestępstwa czy ukrywania księży-pedofilów poprzez nałożenie obowiązkowego milczenia.

Postępowe działania następców św. Piotra już jednak w tamtym okresie przyczyniały się do walki ze wspomnianymi

mi problemami. Potwierdzić to mogą również negatywne wypowiedzi papieża Franciszka na temat hierarchów Kościoła, którzy niejednokrotnie przyczyniali się do zwiększenia cierpienia ofiar i ich bliskich. Ważny jest również fakt, że już rok później biskup Rzymu zatwierdził utworzenie wydziału sądowego odpowiedzialnego za badanie oskarżeń wobec biskupów, którzy nie interweniowali w kwestii zgłoszonych przypadków wykorzystywania nieletnich i próbowali tuszować te sprawy. Można zatem zauważyć, że z Watykanu wychodzą inicjatywy, które mają na celu wywalczenie sprawiedliwości nie tylko wobec sprawców molestowania i nadużyć seksualnych. Za winnych uznaje się również tych, którzy widząc istniejący problem, nie reagowali na niego lub ukrywali go, nie pozwalając go rozwiązać i przyczyniając tym samym do jego powiększenia.

Niezrozumiałe decyzje

W sprzeczności z walką Ojca Świętego Franciszka z pedofilią stoi kilka jego wyborów. Kontrowersyjną postacią, która znalazła się w otoczeniu papieża Franciszka, jest abp Paul Richard Gallagher. Został on mianowany w 2014 r. szefem watykańskiej dyplomacji. Doszło wtedy w Australii do polemiki na temat

słuszności tego wyboru, ponieważ wspomniany arcybiskup, będąc nuncjuszem, nie angażował się wystarczająco w toczące się śledztwa w sprawie duchownych oskarżonych o przestępstwa seksualne wobec nieletnich. Dodatkowo Komitet ONZ przeciwko Torturom w jednym ze swoich dokumentów wspominał o Gallagherze, informując przy tym, że nie chciał on wydać utajnionych dokumentów na temat dwóch nieżyjących już wtedy księży oskarżonych o pedofilię. Tamtejsze śledztwo dotyczyło nadużyć seksualnych wobec około stu dzieci na przestrzeni czterdziestu lat, a ówczesny nuncjusz Gallagher dopiero po miesiącach nalegań zgodził się udostępnić kilka z potrzebnych dokumentów dotyczących tej sprawy. Brak pomocy ze strony Gallaghera został odebrany jako niechęć do walki z pedofilią, a mianowanie go szefem watykańskiej dyplomacji wywołało w Australii falę sprzeciwów i protestów.

W styczniu 2015 roku papież wybrał na ordynariusza jednej z diecezji w Chile biskupa Juana Barrosa Madrida. Był on jednak w przeszłości bliskim współpracownikiem ks. Fernanda Karadimy, który dopuścił się czynów pedofilskich. Biskup Madrid miał wiedzieć o poczynaniach swojego znajo-



meo i – według ofiar – albo być świadkiem i nic z tym nie robić, albo świadomie tuszować przestępstwa na tle seksualnym popełnione w stosunku do dzieci! Papież Franciszek miał posiadać informacje o kontaktach biskupa z ks. Kardimą, nie wiadomo jednak, czy był świadomy tak drastycznych oskarżeń wobec duchownego. Madrid tłumaczył się później, że nie wiedział o istniejącym problemie i nigdy też nie przyczynił się do jego powstania. Sprzeciw wychodzący zarówno od ofiar, jak i niektórych członków Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich nie ustawał, a rozgłos z nim związany wywołał przy tym ogromny skandal pedofilski. Finalnie, po przeprowadzeniu w Watykanie rozmów z papieżem Francisz-

kiem, biskup Madrid wraz z całym episkopatem Chile podał się do dymisji w 2018 r.

„Bóg płacze”

W trakcie swojej podróży apostoelskiej do Stanów Zjednoczonych w 2015 roku papież Franciszek wypowiedział bardzo ważne słowa. Podczas Światowego Zlotu Rodzin Katolickich miało również miejsce spotkanie z ofiarami księży-pedofili, na którym biskup Rzymu powiedział: „Przyrzekam, że wszyscy odpowiedzialni za seksualne wykorzystanie nieletnich zostaną ukarani. Bóg płacze. Tych przestępstw i grzechów seksualnego wykorzystywania dzieci nie można dalej utrzymywać w tajemnicy”. Słowa te, bę-

dące wyrazem zarówno dużego zrozumienia oraz wstydu, jak i głębokiego żalu, na nowo pokazały troskę papieża wynikającą z chęci uratowania jego „tonącego” Kościoła.

W opublikowanym 4 czerwca 2016 r. liście Franciszek dokonał znaczącej zmiany odnośnie do norm kanonicznych. Od tej chwili usunięcie biskupa stało się możliwe nie tylko w przypadku popełnienia przez niego czynów przeciwnych szóstemu przykazaniu, ale również wtedy, gdy dopuści on do nadużyć seksualnych poprzez zaniedbanie określonych sprawy czy zignorowanie ich. Zmiana tych norm nie tylko kapłanów, ale i duchownych za nich odpowiedzialnych uczyła dużo bardziej na głosy ofiar – nie wolno księżom lekceważyć zeznań pokrzywdzonych i dopuszczać się do ponownego zamykania spraw pod przysłowiowy dywan.

W kolejnych latach papież Franciszek nie ustępował w walce z pedofilią. Zdymisjonował on kilku duchownych, w tym dwóch swoich bliskich doradców – George’a Pella sądanego w Australii i Francisca Javiera Errázuriza z Chile.

W *Liście do Ludu Bożego* papież Franciszek głośno nawołuje do modlitwy i pokuty: „Niech

post i modlitwa otwierają nasze uszy na milczące cierpienie dzieci, młodzieży i osób niepełnosprawnych. Niech post obdarzy nas głodem i pragnieniem sprawiedliwości, i skłoni nas do podążania w prawdzie, wspierając wszystkie postępowania sądowe, które byłyby niezbędne. Chodzi o post, który nami wstrząśnie i poprowadzi nas do zaangażowania się w prawdę i miłość ze wszystkimi ludźmi dobrej woli i z całym społeczeństwem, aby walczyć z wszelkiego rodzaju nadużyciami władzy, seksualnymi i sumienia”. Powołuje się on również na wagę słów św. Piotra, które dzisiaj wybrzmiewają w inny, nowy sposób: „Gdy cierpi jeden członek, współcierpią wszystkie inne członki” (1 Kor 12, 26). Grzechy jednostek w Kościele katolickim zatruwają go jako całość, mimo iż – jako wspólnota – sam w sobie nie jest on zły.

Ochrona nieletnich w Kościele, szczyt w Watykanie

Od 21 do 24 lutego 2019 r. w Watykanie miało miejsce historyczne wydarzenie. Szczyt na temat pedofilii, zwołany przez papieża Franciszka, jako cel wyznaczył sobie uczynienie z Kościoła bezpiecznego miejsca oraz przerwanie zmowy milczenia. Pod przewodnic-

twem biskupa Rzymu zebrali się prawie dwieście osób, wśród których znajdowali się zarówno przewodniczący wszystkich episkopatów z całego świata, jak i przełożeni żeńskich oraz męskich zgromadzeń. W przeciągu czterech dni z ust wielu ważnych osobistości Kościoła katolickiego padło wiele istotnych słów. Podczas mszy świętej kończącej wydarzenie przewodniczący episkopatu Australii, abp Mark Coleridge, obiecał: „zrobimy, co w naszej mocy, by zapewnić ofiarom nadużyć sprawiedliwość i wyleczenie; wysłuchamy ich, uwierzemy im”. Sam papież Franciszek zaznaczył, że „osoba konsekrowana, wybrana przez Boga, by prowadzić dusze do zbawienia, poddaje się swojej ludzkiej słabości czy też chorobie, stając się w ten sposób narzędziem szatana. W wykorzystywaniu widzimy rękę złą, która nie oszczędza nawet niewinności dzieci”. Otwarte przyznanie się przez głowę Kościoła katolickiego do istniejącego od wieków problemu, jego potępienie oraz szukanie rozwiązań niezaprzeczalnie stało się krokiem przełomowym w walce z pedofilią.

Dwadzieścia jeden punktów

Podczas szczytu w Watykanie przedstawiono dwadzieścia jeden adnotacji, które mają być

wskazówkami dla biskupów, zarówno w zakresie odpowiedniego traktowania ofiar pedofilii w Kościele, jak i w kwestii postępowania wobec sprawców tych przestępstw. Ważnym założeniem jest punkt piąty, w którym zawarte są informacje, iż przypadki przemocy o podłożu seksualnym powinny być zgłaszane nie tylko władzom kościelnym, ale również lokalnemu wymiarowi sprawiedliwości. Niemniej istotnym aspektem stało się również ułatwienie osobom świeckim udziału w dochodzeniach oraz na różnych stopniach oceny procesów kanonicznych. Inne ważne kwestie zawarte w adnotacjach dotyczyły m.in. zapewnienia odpowiedniej pomocy ofiarom, słuchania ich oraz podniesienia minimalnego wieku odpowiedniego do zawarcia małżeństwa na szesnaste lat (wcześniej, w wyjątkowych przypadkach, kobiety mogły wychodzić za mąż już w wieku czternastu lat, za zgodą biskupa i rodziców). Dodatkowo w tym dokumencie zapewnia się o przeprowadzeniu odpowiednich ocen psychologicznych kandydatów do kapłaństwa stworzonych przez wykwalifikowane do tego osoby. Sprawiedliwą ochroną zostali także objęci kapłani, którym do momentu udowodnienia winy przysługuje domniemanie niewinności. W przypadku bycia odpowie-

działnym za molestowanie seksualne małoletnich obowiązujące ich jednak odejście z postęgi publicznej.

Benedykt XVI nie zamilkł, retrospekcja do lat sześćdziesiątych

Papież emeryt Benedykt XVI ostatnio również zabrał głos w sprawie pedofilii. Napisał on list pt. *Kościół i skandal nadużyć seksualnych*, który został wydany w niemieckim miesięczniku dla kapłanów „Klerusblatt” w Bawarii. Wprowadzając tym samym pewnego rodzaju retrospekcję, pozwolę sobie sprafrazować tutaj treść tego listu.

W pierwszej z trzech części całego artykułu papież odnosi się do nurtu społecznego lat sześćdziesiątych, który w nagły sposób zaczął zmieniać podejście do seksualności, umieszczając ją w bardzo znaczący sposób w centrum życia codziennego. Benedykt XVI opisuje problem edukacji dzieci i młodzieży, która już we wczesnych latach życia zapoznawana była z tematami dotyczącymi seksualności. Lekcje łączono z wyświetlanymi w szkołach filmami przedstawiającymi akt seksualny. Przyświecające temu „cele edukacyjne” strywializowały podejście do seksualności, doprowadzając do punktu, w którym filmy por-

nograficzne i erotyczne stały się tak powszechne, że można je było obejrzeć nawet w kinach. Rewolucja 1968 roku wraz ze swoim pojawieniem się zamierzała wprowadzić wolność seksualną nieograniczoną żadnymi normami. Ten sam ruch pragnął uznania dla pedofilii jako zjawiska powszechnie unormowanego i dozwolonego! W tym samym czasie nieradząca sobie z szybkimi zmianami społecznymi katolicka teologia moralna podburzona również zaczęła tracić grunt pod nogami. Papież pisze o ówczesnej sytuacji tak: „Nic już nie mogło stanowić absolutnego dobra, jak i absolutnego zła; zostały tylko relatywne sądy” (za: klubjagiellonski.pl). Krytykując ten czas, Benedykt XVI podkreślił, że podkopywane wtedy fundamenty moralne muszą istnieć, ponieważ sprowadzenie religii do samej teorii od-

biera jej praktyczność, podczas gdy ta mimo wszystko powinna mieć „zastosowanie w konkretnym życiu”.

Dobro wiary

Radykalizm religijny lat sześćdziesiątych oraz rewolucja seksualna, po której zaczęło być widać początki rozpadu chrześcijańskiej koncepcji, bardzo mocno wpłynęły na Kościół zarówno jako na wspólnotę, jak i na poszczególnych jego członków. Próby odrzucenia przez biskupów Stanów Zjednoczonych katolickiej tradycji przy staraniach równoczesnego stworzenia jej od nowa, okazały się opłakane w skutkach. W tym też czasie dochodziło również w seminariach do przypadków wyświetlania filmów pornograficznych, których pokazy miały na celu nauczanie kleryków przeciwstawiania się



źródło: Unsplash.com



kwestiom sprzecznym z wiarą. W latach siedemdziesiątych sytuacja w seminariach zaczęła się już poprawiać, ich wcześniejszy upadek zebrał jednak swoje żniwo w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, gdy głośno zaczęto mówić o kwestii pedofilii w Kościele. Młode osoby zbombardowane seksualnością zaczęły wtedy osiągać wiek pełnoletności i zaczynać swoje dorosłe życie. Część z nich wstępowała do seminariów.

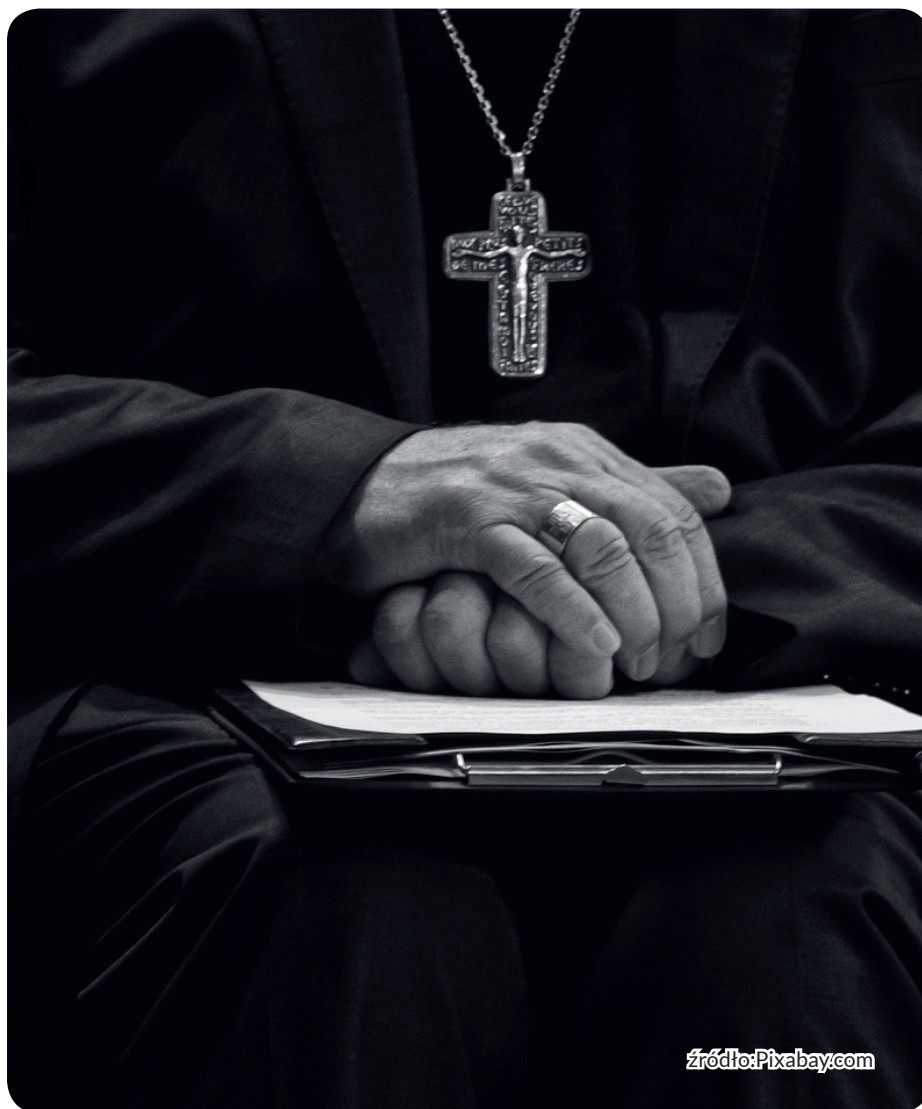
Próby zapobiegania późniejszym przypadkom pedofilii w Kościele nie osiągnęły upragnionego skutku. Papież Benedykt XVI podkreśla wagę całej sprawy, pisząc, iż ochrona poszczególnych jednostek szkodziła i nadal szkodzi całemu depozytowi wiary: „Zrównowa-

żone prawo kanoniczne, zgodne z całością orędzia Jezusa, nie może zapewniać tylko gwarancji oskarżonemu, którego godność jest dobrem prawnym. Musi ono również bronić wiary, będącej także ważnym dobrem prawnym”. Takie rozumienie sprawy dało podstawę do stwierdzenia, że tymczasowe zawieszenie lub zmniejszenie parafii nie musi być skutecznym rozwiązaniem. Jednocześnie szukanie sprawiedliwości i dobra wiary dało więc możliwość nakładania na kapłanów-pedofili najwyższej kary, czyli wydalenia ze stanu kapłańskiego.

Nowy Kościół?

Emerytowany papież, szukając rozwiązań w walce z pedofilią w Kościele, pisze: „Tylko

posłuszeństwo i miłość do naszego Pana Jezusa Chrystusa może wskazać nam właściwą drogę”. W kolejnych fragmentach tekstu podkreśla on, że nie zmiana Kościoła lub stworzenie czegoś nowego na podobieństwo tej wspólnoty jest rozwiązaniem, lecz nawrócenie się do Boga i przyjęcie go w każdej sferze naszego życia – uczynienie z Niego fundamentu naszego życia. Zwraca on również uwagę na wiarę katolicką jako na jedyny środek prawdziwie i dobrze kształtujący świat, w którym na dzieło stworzenia patrzy się przez pryzmat faktu, iż „Bóg istnieje”. W takiej sytuacji niektóre rzeczy stają się oczywiste – czarne lub białe. Dzięki temu rozróżnieniu wiemy, „że coś jest złem i niszczy człowieka. Tak jest właśnie w przypadku pedofilii.



źródło: Pixabay.com

Tymczasem całkiem niedawno teoretyzowano na temat jej całkowitej stosowności, co zresztą było przyczyną nasilenia się ekscesów pedofilskich”. Nie musimy zatem podważać wszelkich mądrości, by zauważyć, że niektóre zachowania, jak na przykład wykorzystywanie seksualne bezbronnych istot, należą do czynów niedopuszczalnych.

Papież pochyla się również nad istotą Kościoła jako wspólnoty. Przypominając historię z Pisma Świętego, mówi o sieci rybackiej z dobrymi i złymi ryba-

mi oraz o polu, na którym oprócz dobrego zboża wybują też chwasty. Zaznacza jednak: „W rzeczy samej, chwasty na Bożym polu, w Kościele, wydają się bardzo wybujałe, a złe ryby w sieci są najbardziej widoczne. Nie zmienia to jednak faktu, że to pole uprawne pozostaje Bożym polem, a sieć – Bożą siecią rybacką”. Nakłania on również do tego, by pozostać przy tym sprawiedliwym w ocenie całego Kościoła, nie patrząc na Niego przez pryzmat zła i obłudy. Kościół nie jest doskonały – nie oznacza to jednak, że nie ma

w nim ludzi cichych, pokornych i kochających, wśród których obecny jest Bóg pełen dobra i miłości.

Vos estis lux mundi

9 maja 2019 roku papież Franciszek w dokumencie w formie *motu proprio* pod tytułem *Vos estis lux mundi* (pol. Wy jesteście światłem świata) zawarł nowe normy oraz procedury dotyczące walki z pedofilią w Kościele katolickim. Ojciec Święty na wstępie zaznaczył, że „przestępstwa związane z wykorzystywaniem seksualnym obrażają naszego Pana, powodując u ofiar szkody fizyczne, psychiczne i duchowe oraz szkodzą wspólnocie wiernych” (za: episkopat.pl).

W dalszych częściach dokumentu przedstawił on prawne informacje odnoszące się do postępowania w przypadkach zgłoszenia nadużyć seksualnych. Przepisy zawarte w *motu proprio* odnoszą się do duchownych lub członków instytutów życia konsekrowanego czy towarzyszeń życia apostołskiego. Dotyczą one przestępstw przeciwko szóstemu przykazaniu, a także zakłócania dochodzeń cywilnych oraz kanonicznych lub unikania ich w przypadkach przestępstw na tle seksualnym. Wśród wymienionych czynów karalnych znalazło się m.in.

zmuszanie kogoś do czynności seksualnych, dopuszczanie się ich z osobami poniżej osiemnastego roku życia lub z osobami „bezzadnymi” oraz posiadanie i rozpowszechnianie pornografii dziecięcej.

Dokument ten zobowiązuje również poszczególne jednostki administracyjne w Kościele do stworzenia w przeciągu roku systemów ułatwiających składanie zawiadomień o pedofilii oraz późniejsze postępowania karne w jej sprawie. Papież Franciszek zaznacza również wyraźnie, przerywając przy tym złą milczenie, iż ofiary składające zawiadomienia nie mają obowiązku dyskrecji na temat ich treści.

Biskup Rzymu szczególną troską obejmuje również ofiary przestępstw i ich rodziny, kładąc nacisk na okazanie im pomocy i wsparcia, zarówno duchowego, jak i psychologicznego, medycznego oraz terapeutycznego. Co więcej, w ostatnim, czyli dziewiętnastym artykule listu apostolskiego czytamy, iż „niniejsze przepisy stosuje się bez uszczerbku dla praw i obowiązków ustanowionych gdziekolwiek w ustawodawstwie państwowym, w szczególności dotyczących ewentualnych obowiązków zawiadomienia właściwych władz cywilnych”.

Nietrudno jest zatem założyć ogromny postęp w zmianie myślenia i w postrzeganiu przestępstw na tle seksualnym zdarzających się w Kościele katolickim. Nastąpił przełom w walce z pedofilią, która przestaje być sprawą tuszowaną czy tematem tabu.

Nadzieja

Temat pedofilii w Kościele jest kwestią bardzo trudną. Obecność wykorzystywania nieletnich w instytucji, która powinna stanowić ostoję wiernych, niszczy zaufanie do Kościoła i poczucie bezpieczeństwa jego członków. Trudno wyobrazić sobie cierpienie niewinnych, którzy, obdarzając ufnością duchownych, zostali w sposób okrutny skrzywdzeni. Bardzo ciężko jest również wiernym żyć ze świadomością krzyża, który ofiary przestępstw będą niosły przez całe swoje życie. Kierując spojrzenie pełne miłości na wszystkich tych, którzy przez lata tak wiele wycierpieli, pragnę również spojrzeć w przyszłość z nadzieją. Dostrzegam, że od lat Kościół mówi zjawisku pedofilii stanowcze „nie”. Wierzę, że działania papieża Franciszka oraz innych członków wspólnoty mojego Kościoła otulą miłością wszystkich cierpiących, sprawiedliwie potrakują tych, którzy do ich cierpień

się przysłużyli i jednocześnie będą kontynuowali walkę o to, by w przyszłości zapobiec takim nadużyciom.

Kto by się stał powodem grzechu dla jednego z tych małych, którzy wierzą, temu byłoby lepiej uwiązać kamień młyński u szyi i wrzucić go w morze. (Mk 9,42)





źródło: Unsplash.com

Jest źle, będzie źle, ale lepiej nie było



Jan Borowski

Jeśli otworzymy pierwszy lepszy portal informacyjny albo weźmiemy do ręki dowolny dziennik, możemy być pewni, że zaleje nas prawdziwa fala negatywnych informacji. Gwałty, wojny, korupcja i globalne ocieplenie – to tematy, którymi żyją reporterzy. Nie każdy jednak zdaje sobie sprawę, że nigdy dotąd na świecie nie było ludziom tak dobrze.

Kiedyś było lepiej, spokojniej, bezpieczniej – uważa się na ogół. Mit „starych, dobrych czasów” przekazywany jest z pokolenia na pokolenie. Ludzkość, zdaniem niektórych, nieuchronnie dąży ku zagładzie. Większość Europejczyków pytanych w ankietach, jak gospodarka ich kraju będzie funkcjonowała przez najbliższy rok, kreśli pesymistyczne scenariusze. Przy

tym uważają, że ich własna sytuacja finansowa ulegnie poprawie. Brytyjczycy zapytani, czy przestępczość, bezrobocie, imigracja i narkotyki są na Wyspach problemem, w większości skwapliwie przytakują. Jednak ci sami Brytyjczycy twierdzą, że nie zauważają tych zagrożeń we własnym otoczeniu. Czy coś tu nie gra?

Źródła zgorzknienia

Przedstawione wyżej zjawisko badacze zwykli nazywać luką optymizmu. Przeciętny Kowalski patrzy na świat przez różowe okulary: wydaje mu się, że ma mniejsze niż statystyczne prawdopodobieństwo paść ofiarą wypadku, napadu czy choroby. Ale jeśli zapytać go o całe społeczeństwo, nie o nie-



go samego, zaczyna się czarnowidztwo. Powodów takiej, a nie innej postawy jest wiele. Przede wszystkim rzuca się w oczy to, jak negatywny przekaz serwują nam media. Na przykład ton wiadomości zamieszczanych w największych światowych serwisach informacyjnych od końca lat siedemdziesiątych systematycznie staje się coraz bardziej pesymistyczny. Odpowiedzialność za to nie spoczywa zresztą bezpośrednio na dziennikarzach. Winne jest tempo przekazywania wiadomości – w kilka minut można obrabować bank, zastrzelić kilku ludzi, przy odrobinę większym nakładzie środków nawet wywołać wojnę. Niemniej trudno zrobić cokolwiek pozytywnego. Gdyby gazety ukazywały się raz na kilkadziesiąt lat, być może faktycznie donosiłyby, że procent głodujących ludzi spada, a zamożność rośnie. W prasie codziennej

brak jednak miejsca na takie informacje.

Nie bez winy jest także nasza własna psychika. Jakoś podświadomie bardziej skłonni jesteśmy uwierzyć w doniesienia negatywne, niż w pozytywne. Pesymiści brzmią przecież często tak, jakby z dobroci serca chcieli nas przed czymś przestrzec. Optymiści natomiast sprawiają wrażenie oszustów, akwizytorów, którzy z uśmiechem chcą nam wcisnąć jakąś nic niewartą tandetę, względnie zachęcić do ubezpieczenia się w ich firmie. Ciekawe, że ten trend tyczy się nawet krytyków kinowych – ci, którzy oceniają filmy surowiej, są przez nas instynktownie oceniani jako bardziej kompetentni. Dlatego właśnie pesymistycznym tonem często mówią ludzie, którzy tak naprawdę nie mają nic do powiedzenia. Pozwala on na wytworzenie pewnej ilu-

zji, ma świadczyć o tym, że nasz rozmówca jest obyty, inteligentny, nie podchodzi do życia lekko-myślnie. „Zawsze przewiduj najgorsze, a uczynią cię prorokiem” – humorystycznie docinał amerykański satyryk, Tom Lehrer.

Po co nam prorocy?

Bycie takim „prorokiem”, czy pesymizm w ogóle, ma rzecz jasna i swoje dobre strony. Co do tego trudno się nie zgodzić. To dzięki niemu wojnę w Syrii nazywamy tragedią humanitarną. Kilka dekad wcześniej na wojnę domową w Chinach czy podział Indii nie patrzono jeszcze z taką empatią. Na globalne ocieplenie obywatele pierwszego świata spoglądają dziś z rosnącym niepokojem, wywierając na władze coraz większą presję, aby wprowadziły odpowiednie regulacje. Ludzkość przestaje być obojętna, rośnie społeczna świadomość i odpowiedzialność. Z drugiej strony to właśnie ciągłe doniesienia o przemocy i przestępstwach sprawiają, że mamy je za rzecz normalną, z którą trzeba nauczyć się żyć. W ten sposób negatywne wiadomości w pewnym stopniu odbierają nam naszą wrażliwość, dając w zamian poczucie bezradności wobec zła.

Mimo to prorocy mają do spełnienia zadanie niezwykle

istotne. Są pewnym głosem wyrażającym publiczny niepokój. Reprezentują społeczny sprzeciw, a ten, czy słuszny, czy nie, jest jednak zbiorowości potrzebny. „Opór stawiany przez kulturę postępowi sam jest częścią owego postępu” – podkreślał w *Filozofii przypadku* Stanisław Lem. Strach przed postępowem wytycza pewną granicę, której nie wolno przekroczyć, gdyż ludzkość nie jest jeszcze na ten krok gotowa. „Nie można bowiem – pisał dalej Lem – postępować we wszystkich pomysłach się dających kierunkach naraz. Kto się tak porusza, nie porusza się w żadnym kierunku, lecz tylko pęcznieje. Opór, ograniczający ruchy zmian, nadaje im zborność i kierunek”.

Wspólna świadomość

Za najbardziej kompletny wykaz takich lęków i niepokojów czasów powojennych uważano *Rok 1984*. Obywatel Zachodu, który ledwo zdążył otrząsnąć się po drugiej już wielkiej wojnie, najmocniej obawiał się nowej niewoli i nowego totalitaryzmu. Władzy, która prowadziła do zupełnej utraty tożsamości. Nie wydaje się jednak, aby i współczesny czytelnik, biorąc do ręki książkę Orwella, tak żywo podzielał ten strach. Ludzie naszych czasów boją się czegoś zgoła innego. Cze-



źródło: Unsplash.com

go? Odpowiedź na to pytanie daje się usłyszeć wśród głosów społecznego niezadowolenia, wśród protestujących i żalących się na współczesny świat.

Te właśnie głosy tworzą dyskurs nad wyraz istotny dla demokratycznego społeczeństwa. Dzięki nim wytwarza się subtelna polityczna gra. Grupy reprezentujące różne interesy, u źródeł których czasem leżą głębokie przekonania etyczne bądź religijne, ścierają się ze sobą, kształtując wspólną społeczną świadomość. Świadomość ta uzależniona jest od swobody dyskusji i odwagi jednostek. Dlatego właśnie opór, zwłaszcza wynikający z racjonalnych postaw, odgrywa tak istotną rolę w kształtowaniu kultury i społeczeństwa. Z tego również względu w dzisiejszych czasach nie sprawdza się już dawny mo-

del polityki, zakładający, że dąży ona do pewnego określonego celu, ma do spełnienia jakieś szczególne zadanie. Rządzący nie tyle kierują społeczeństwo do jakiegoś określonego portu, a jedynie starają się je utrzymać na powierzchni, jak okręt na wzburzonym morzu. Nasza epoka jest bowiem tak dynamiczna, że nie da się działać inaczej.

Odpowiedzialność i fobia

Ta dynamika, co całkiem zrozumiałe, budzi niemały lęk. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że społeczeństwo dziś nie jest już jedynie szarą, niewydukaną masą. Wszyscy czujemy się świadomi, że to na nas bezpośrednio ciąży odpowiedzialność za jego kształt. Ludzie odczuwają wręcz potrzebę, by wiedzieć o złu, które dzieje się na świecie. Ten, kto milczy, mając świadomość

krzywdy, sprzymierza się z nią. Kto nie podejmuje działania, sam jest zbrodniarzem. O ile taka krytyka nie przybiera znamion hipokryzji, jest jak najbardziej na miejscu. W sposób naturalny powszechna odpowiedzialność budzi chęć ucieczki do czasów, w których przeciętny człowiek był od niej wolny. Czasem to zjawisko może przeradzać się w ogólnospołeczną, paraliżującą fobię. Jej skutki są niemal wyłącznie negatywne, sparaliżowana jednostka nie jest bowiem w stanie w jakikolwiek sposób współtworzyć społeczeństwa, wyzbywa się odpowiedzialności. Niemożliwe jest jakiejkolwiek przeciwstawienie się, a zwłaszcza zmienianie świata na lepsze. Niemożliwa jest wreszcie racjonalna ocena jego kondycji.

Taka ocena z samej swej natury nie jest bowiem rzeczą łatwą. Tak naprawdę zależy od sfery, na jaką zechcemy spojrzeć. Jeżeli mowa o ogólnym dobrostanie ludzkości, wszystkie liczby zdają się przemawiać za tym, że z roku na rok jest on coraz większy. Technologicznie nasza cywilizacja znajduje się w fazie rozkwitu. Mnóstwo statystyk to potwierdzających omawia w wydanej przed rokiem książce *Nowe oświecenie* Steven Pinker (z tej publikacji pochodzi zresztą większość przytoczonych w artykule da-

nych). Jeśli mowa o kwestiach światopoglądowych i kulturowych, trudno o jednoznaczną ocenę. Z jednej strony jesteśmy świadkami upadku wartości tradycyjnych, jak więzi rodzinne czy honor. Nie jest jednak bynajmniej tak, że współczesna kultura odrzuciła wartości jako takie na rzecz jakiegoś rodzaju nihilizmu. Ich miejsce zajęły inne ideały, na przykład autentyczność. Czy zmiana ta wyszła na dobre, czy też nie – każdy musi już ocenić wedle własnego sumienia.

Współtworząc świat współczesny

Jakakolwiek nie byłaby ta ocena, kultura współczesna nie powinna wywoływać w nas lęku, a tym bardziej paraliżować. Niemożliwe jest bowiem wówczas przyjęcie spoczywającej na każdym z nas odpowiedzialności za świat, niemożliwe jest jego współtworzenie. Postęp kreują właśnie ludzie odważni – a przecież nie jest on z założenia czymś negatywnym, co powyżej taki negatywny kierunek jest mu nadawany. Dyskusja ze współczesną kulturą i z postępem w ogóle jest możliwa, o ile prowadzi się ją w ich własnym języku. Nie sposób na przykład prowadzić dialog z jakąkolwiek kulturą, jeżeli na wejściu deprecjonuje się ją i sprowadza do nihilizmu.

Dla wprowadzenia jakichkolwiek zmian lub dla nadania kierunku zmianom już zaistniałym konieczna jest więc zgoda na to, że obecnie rzeczywistość ma taki, a nie inny kształt – i choć może to brzmieć banalnie, nie jest wcale takie proste. Droga właściwą na pewno nie jest krytykanctwo. Pozwala ono co najwyżej na stawianie oporu, tak jak opisywał to Lem, na spowalnianie pewnych zmian, jednak nie daje możliwości wpływania na to, co rzeczywiście się wydarzy. Droga do współtworzenia świata jest wyważony, stanowczy realizm, pewna odwaga, dzięki której można opierać się prądom płynących społeczeństw i mimo nich zachowywać autonomię. Może taką postawę należałoby nazwać właśnie odwagą realizmu?





Kościół a prawo do posiadania broni



Antonio Akmadža

Wiadomości o niedawnych strzelaninach w Stanach Zjednoczonych, które w tym kraju są ostatnio wyjątkowo częstym zjawiskiem i palącym problemem społecznym, zawsze powodują spór o prawo do posiadania broni palnej przez osoby prywatne. Gorąca dyskusja na ten temat w Stanach Zjednoczonych inspiruje też podobne debaty w całym świecie zachodnim. Prawo nie jest zapewne jedynym powodem wspomnianych strzelanin. Temat zasługuje na to, by mu się bliżej przyjrzeć.

Kontekst amerykański

Żyjemy w wyjątkowo zamerykanizowanym świecie. Wszechobecność języka angielskiego i kultury amerykańskiej powodują, że często wydarzenia w Stanach Zjednoczonych nie tylko przenoszą podobne tematy do naszych europejskich

wspólnot, lecz także my – Europejczycy, przenosimy się niejako w rzeczywistość amerykańską i włączamy w tamtejsze dyskusje, często tracąc poczucie różnicy pomiędzy problemami i okolicznościami amerykańskimi z jednej oraz europejskimi i polskimi z drugiej strony.

Dlatego w debacie na temat prawa do posiadania broni w naszym przypadku należy wyzwolić się od niektórych typowo amerykańskich aspektów. Jeśli chcemy zapoznać się z podejściem Kościoła do tego tematu (a właśnie spróbuję zrobić w tym artykule), musimy wzniesć się na poziom uniwersalny.



Debata na temat prawa do posiadania broni w Stanach Zjednoczonych w dużym stopniu obraca się wokół drugiej poprawki do konstytucji, która brzmi: „Ponieważ dobrze zorganizowana milicja jest niezbędna dla bezpieczeństwa wolnego państwa, prawo ludzi do posiadania i noszenia broni nie ulegnie naruszeniu”. Innymi słowy, prawo do noszenia broni w Stanach Zjednoczonych ma swoje oparcie w podstawowym dokumencie prawnym tego państwa i tradycję sięgającą początków jego istnienia. Ta sama kwestia w rzeczywistości europejskiej i uniwersalnej nie jest obarczona brzemieniem wspomnianej poprawki i z nią związanej tradycji, co pozwala na debatę w nieco innym wymiarze. Jednak poprawka do amerykańskiej

konstytucji zawiera też pewną implikację, ważną dla uniwersalnego aspektu tego tematu. Mianowicie, jeśli poprawki do amerykańskiej konstytucji rozumiemy jako wyliczenie podstawowych praw naturalnych człowieka i wspólnoty oraz sposobów ich zabezpieczenia przed swawolą rządów (a w ten właśnie sposób rozumiane są one w tradycji amerykańskiej), czy oznacza to, że prawo do posiadania i noszenia przy sobie broni jest naturalnym prawem człowieka, któremu żaden rząd nie może zaprzeczyć?

Zdaje się, że nie tylko ojcowie założyciele Stanów Zjednoczonych patrzyli na prawo do posiadania broni jako na naturalne. Angielska *Deklaracja praw* z 1689 roku uznaje je za część

naturalnego prawa do samoobrony. Także francuska *Deklaracja praw człowieka i obywatela* rozpoznaje prawo do noszenia broni jako związane z powinnością obrony przed tyranią. Mogłoby się wydawać, że kwestia ta w Europie postrzegana jest podobnie jak w Ameryce. Jednak wszystkie trzy wymienione dokumenty łączy wspólna cecha – okoliczności historyczne, pod wpływem których one powstały. Stany Zjednoczone wyrosły na drodze rebelii amerykańskiego ludu przeciwko władzy korony brytyjskiej – w podobnej atmosferze tworzona była również amerykańska konstytucja. Wspomniane prawo angielskie z kolei uchwalono rok po tzw. chwalebnej rewolucji, kiedy obalono katolickiego króla Jakuba II z dynastii Stuartów i zastąpiono go protestantem – Wilhelmem Orańskim. Nowe przepisy miały na celu uzbrojenie ludności protestanckiej, która stanowiła oparcie dla nowego króla, a została wcześniej, w 1671 r., pozbawiona prawa do noszenia broni. Z kolei we Francji ów przywilej pozostawał w ścisłym związku z rewolucją francuską i potrzebą ludowej obrony nowego porządku w wojnach przeciwko ówczesnym europejskim monarchiom. W *ancien régime* noszenie broni było przywilejem szlachty i służb mundurowych.

Pismo Święte i nauczanie Kościoła

W Piśmie Świętym nie znajdziemy odpowiedzi na nasze zagadnienie. Fakt, że wiele biblijnych postaci posiadało broń i nie było z tego powodu potępianych czasami jest wykorzystywany przez zwolenników jej posiadania jako dowód ich racji. W Biblii nie mamy jednak do czynienia z bronią palną, lecz innymi przedmiotami służącymi do obrony. Dzisiaj też każdy może posiadać nóż. W dyskusji toczonej nt. broni chodzi konkretnie o pistolety i karabiny. Społeczeństwo znane z Biblii różniło się od współczesnego poziomem zróżnicowania zawodów i podziału ról społecznych (był on o wiele niższy), więc posiadanie oręża często stanowiło konieczność, gdyż samo państwo nie było w stanie zagwarantować obywatelom bezpieczeństwa.

Co natomiast mówi na ten temat Kościół katolicki? Milczy. W żadnym ze swoich dokumentów nie zaliczył prawa do noszenia broni do praw naturalnych. Ale też w żadnym dokumencie go nie potępił, nie uznał za grzech. W nauce społecznej Kościoła nie ma jednoznacznych odpowiedzi na wspomniane zagadnienie. Możemy z tego wnioskować, że temat posia-

dania broni pozostaje w gestii państwa. Rządy, kierując się roztropnością i sprawiedliwością, powinny ocenić wszelkie możliwe zagrożenia i cały szereg okoliczności, by podjąć odpowiedzialną decyzję. Powoływanie się na wiarę katolicką w tej kwestii stanowi nadużycie.

Katechizm i samoobrona

Choć o samym prawie do posiadania broni Kościół katolicki milczy, warto przytoczyć, co Katechizm Kościoła Katolickiego mówi na temat uprawnionej obrony i użycia broni (punkty 2263–2265). Co ciekawe, pkt. 2265 został poprawiony niedługo po publikacji pierwszego wydania. Na jego podstawie możemy w pewnym stopniu zapoznać się ze stanowiskiem Kościoła w tej kwestii. Punkty 2263 i 2264 stwierdzają, że uśmiercenie napastnika w ramach samoobrony jest uprawnione, natomiast niegodziwe jest użycie większej siły niż potrzeba. „Dozwolona jest natomiast samoobrona, w której ktoś w sposób umiarkowany odpiera przemoc... Nie jest natomiast konieczne do zbawienia, by ktoś celem uniknięcia śmierci napastnika zaniechał czynności potrzebnej do należytej samoobrony” (por. KKK 2264).

Powyższe dwa punkty używane są często przez zwolen-

ników posiadania broni, a argumentacja wygląda w sposób następujący: jeżeli Kościół pozwala na uśmiercenie napastnika w ramach samoobrony, to z tego wynika, że człowiek ma prawo do dyspozycji środka samoobrony, do których zalicza się broń palna. Taka interpretacja wydaje się jednak nadużyciem. Dobrze wiemy, że człowieka w ramach samoobrony można uśmiercić na różne sposoby, można do tego wykorzystać broń zimną lub zwykłe przedmioty, a czasami własną siłę fizyczną. Oczywiście, te punkty nie wykluczają użycia broni palnej – owszem, może jej użyć, ale to wcale nie oznacza, że musi mieć prawo do posiadania jej na wypadek obrony koniecznej. Katechizm mówi, że uśmiercenie napastnika w takiej sytuacji nie jest grzechem. Nie jest to równoznaczne z faktem, że należy *a priori* mieć prawo posiadania całego arsenału, z którego potencjalny broniący się wybierze broń odpowiadającą broni napastnika.

W punkcie 2265 czytamy: „Uprawniona obrona może być nie tylko prawem, ale poważnym obowiązkiem tego, kto jest odpowiedzialny za życie drugiej osoby”. Ten fragment nie uległ zmianom, jednak w wersji pierwotnej miał kontynuację: „...za wspólne dobro rodziny



źródło: Unsplash.com

lub państwa”. Ta część została jednak usunięta, a dodano następujące dwa zdania: „Obro- na dobra wspólnego wymaga, aby niesprawiedliwy napastnik został pozbawiony możliwości wyrządzania szkody. Z tej racji prawowita władza ma obowiązek uciec się nawet do broni, aby odeprzeć napadających na wspólnotę cywilną powierzoną jej odpowiedzialności”. Widzimy tutaj pewne przesunięcie akcentu. Podczas gdy w pierwotnej wersji, szczególnie na podstawie zdania o odpowiedzialności za wspólne dobro rodziny, można było domyślać się, że mowa przede wszystkim o osobach prywatnych, to poprawka przesuwająca akcent na państwo. Odpowiedzialnością za życie

drugiej osoby nie jest koniecz- nie obarczone tylko państwo (choć akcent na prawowitą władzę w tym punkcie Katechizmu jest znaczący). Pomimo usunięcia zdania dotyczącego rodziny punkt 2265 nie wyklucza prawa, a nawet obowiązku obrony innych przez osobę prywatną (np. dzieci przez ojca). Natomiast zdanie o obowiązku użycia broni skierowane jest wyłącznie do państwa. Zapis ten wydaje się obalać argument, jakoby prawo do samoobrony z automatu oznaczało, że należy umożliwić posiadanie broni palnej na wypadek obrony własnej. Posiadanie i używanie broni jest obowiązkiem wyłącznie państwa, a dla osoby prywatnej stanowi jedynie możliwość.

Katechizm i obrona przed tyranią

Oprócz posiadania broni w celu samoobrony, przywołuje się niekiedy jeszcze jeden argument na korzyść wspomnianego prawa. Chodzi o tzw. obronę przed tyranią, tj. zdolność społeczeństwa do stawienia oporu władzy, która zaczęłaby prześladować swoich obywateli (lub w jeszcze dalej posuniętym rozumowaniu – która przestałaby słuchać obywateli). Nauka społeczna Kościoła rzeczywiście pozwala na opór przeciwko władzy i stosowanie w tym kontekście przemocy, ale w bardzo wyjątkowych i określonych przypadkach. W punkcie 2243 Katechizmu



źródło: Unsplash.com

jest napisane, że „opór przeciw uciskowi stosowanemu przez władzę polityczną jest uzasadniony jedynie wtedy, gdy występują równocześnie następujące warunki: w przypadku pewnych, poważnych i długotrwałych naruszeń podstawowych praw; po wyczerpaniu wszystkich innych środków; jeśli nie spowoduje to większego zamętu; jeśli istnieje uzasadniona nadzieja powodzenia; jeśli nie można rozumnie przewidzieć lepszych rozwiązań”. W praktyce bardzo rzadko (lub prawie nigdy) nie da się spełnić wszystkich tych pięciu warunków jednocześnie (nawet powstanie warszawskie ich nie spełnia, a ciężko sobie wyobrazić bardziej skrajne okoliczności niż te, które panowały w War-

szawie w 1944 roku). Z historii Kościoła wiemy, że sprzeciwiał się on powstaniom i rewolucjom. Dlatego i nauka społeczna Kościoła tak mocno zawężyła możliwość zbrojnego oporu przeciwko tyranii, dopuszczając jedynie hipotetyczną sytuację, w której to będzie uzasadnione. Dlatego Kościół katolicki to chyba ostatnia instytucja, od której należałoby się spodziewać błogosławieństwa na posiadanie broni w celach obrony przed tyranią.

Wnioski

W nauce społecznej Kościoła istnieje tendencja do przyznawania państwu prawa do stosowania przemocy. Zarówno

KKK, jak i inne dokumenty, pośrednio lub bezpośrednio uznają lub uznawały prawo państwa do prowadzenia wojen (pod określonymi warunkami), karania przestępców, utrzymywania porządku publicznego itd. Władza „nie na próżno nosi miecz”, jak uczy nas św. Paweł w Liście do Rzymian (13,4). Oczywiście Kościół stara się określić sytuację, w których stosowanie przemocy ze strony państwa byłoby uzasadnione, ale nigdy nie ulegało wątpliwości, że państwo takie uprawnienie posiada. Co do osób prywatnych – odwrotnie. Nauczanie Kościoła stara się raczej wykorzenić przemoc ze stosunków międzyludzkich, a prawo do stosowania przemocy w celach obronnych uznaje za ostateczność. Odpowiedzialność za bezpieczeństwo osób i mienia przenosi przede wszystkim na państwo. Jest to sposób na zaprowadzenie porządku w rzeczywistości społecznej. Dzieje się tak za sprawą przekonania o upadłej naturze człowieka i jego skłonności do zła, wynikających ze skutków grzechu pierwotnego. Opiekę nad bezpieczeństwem życia i ludzi lepiej zatem powierzyć stabilnym instytucjom. W tym kontekście bardziej związane z nauką społeczną Kościoła wydaje się ograniczenie dostępu do broni niż prawo do jej posiadania. Zaufanie ludziom w tym względzie

wymaga dużego optymizmu antropologicznego. Zwolennicy prawa dostępu do broni uciekają się do jednego argumentu: osoba chcąc zdobyć broń dokona tego prędzej czy później (szczególnie jeśli celem jest wyrządzenie krzywdy). Możliwość obrony powinna dotyczyć również osób przestrzegających prawa. Jako kontrargument można przytoczyć przykład osób, które wprowadzicie kryminalistami nie są, ale z powodu różnych zaburzeń (np. psychicznych) lub uzależnień byłyby w stanie w chwili kryzysowej popełnić zbrodnię, gdyby dostęp do broni był powszechny (w zwykłych okolicznościach prawdopodobnie by po nią nie sięgnęły). Takie zabójstwa i samobójstwa zdarzają się stosunkowo często. Warto wspomnieć o kwestii dostania się broni w niepowołane ręce, np. dziecka.

Czy posiadanie broni palnej zawsze równa się ze zdolnością do samoobrony? Przecież posiadać broń to jedno, a mieć ją pod ręką w każdej chwili, to coś zupełnie innego. W sytuacjach krytycznych (np. podczas ataku terrorystycznego), nawet jeśli broń znajduje się w pobliżu, nie każdy będzie potrafił jej w sposób odpowiedni użyć, gdyż wymaga to wcześniejszego przeszkolenia.

W rozumowaniu zwolenników posiadania broni, w uzbrojonym społeczeństwie powinno rzadziej dochodzić do przemocy. Sama świadomość czynu zabronionego miałaby hamować napastnika. Jednak czy społeczeństwo opierające się na chrześcijańskich wartościach powinno funkcjonować na zasadach wzajemnego odstraszenia bronią, czy na zasadach braterstwa i miłości bliźniego?

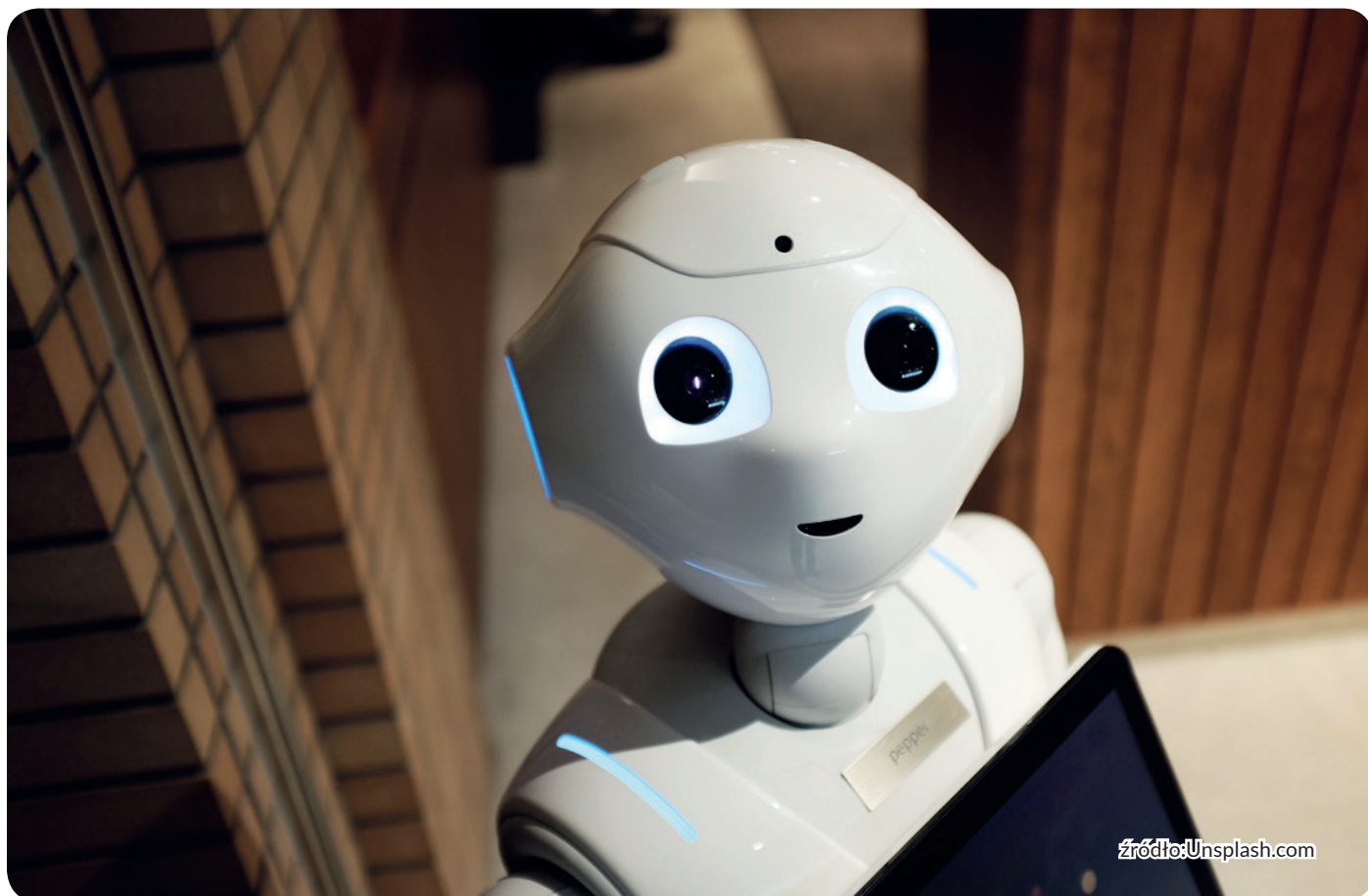
Podsumowanie

Powyższe powody pozwalają zrozumieć pewną skłonność Kościoła do powierzenia większej roli i odpowiedzialności państwu, kiedy idzie o sprawy związane z przemocą. To jednak nie oznacza, że we wspólnocie

Kościoła katolickiego nie ma miejsca na ludzi, którzy opowiadają się za prawem do posiadania broni oraz na ich argumenty. Dyskusja wciąż się toczy, a fakt, że Kościół nie wypowiedział się o tym bezpośrednio, otwiera pole do dyskusji. Sam popełniłbym nadużycie, gdybym absolutyzował sposób czytania Katechizmu zaproponowany w tym artykule. Na razie pozostaje faktem, że w przeciwieństwie do tradycji amerykańskiej, Kościół katolicki nie uznał prawa do posiadania broni za prawo naturalne. Gdyby państwo umożliwiło łatwiejszy dostęp do broni, jego legalne nabycie przez chrześcijanina nie stanowiłoby grzechu. Debata toczy się pomiędzy tymi dwoma skrajnościami.



źródło: Pixabay.com



źródło: Unsplash.com

Transhumanizm a filozofia: komentarz do artykułu V. Possenti



Marcin Worek

Transhumanizm – ten termin może budzić albo niepokój, albo konsternację. Bo niby jak mielibyśmy przekraczać samych siebie? Co to w ogóle miałyby oznaczać? I kiedy człowiek jest sobą, a kiedy nie jest? Odpowiedzi na te pytania to tak naprawdę zręby problematyki transhumanizmu we współczesnej filozofii. Analizując niniejszą kwestię, przyjrzyjmy się, co w tej sprawie ma do powiedzenia Vittorio Possenti, wenecki profesor filozofii.

Problem transhumanizmu tak naprawdę jest tylko częścią szerszego zagadnienia, znanego w filozofii jako spór o naturę ludzką. Possenti zauważa: „Jeszcze w epoce oświecenia przyjmowano istnienie powszechnej, nieziennej natury ludzkiej – dziś natomiast dominująca kul-

tura jest całkowicie temu przeciwna: teorie ewolucjonistyczne prowadzą do pojmowania natury ludzkiej jako zmiennej, posiadającej różne odcienie, zdolnej do transformacji [...]” (Possenti V., *Negacja natury ludzkiej i humanizmu w filozofii nowożytnej i współczesnej*, w: *Zadania współ-*

czesnej metafizyki tom 16 – spór o naturę ludzką, Lublin 2014, s. 114).

Czy to oznacza, że sama teoria ewolucji przyczynia się do odrzucenia klasycznej koncepcji natury ludzkiej? W pewnym dość wąskim sensie tak, ponie-



waż postuluje, że gatunki mogą się zmieniać, ewoluować w miarę następujących stopniowych mutacji w kodzie DNA. Jest to proces rozciągnięty w czasie, jednak wyraźnie wskazuje, że jedno gatunki mogą przechodzić w inne. Jeśliby się pospieszyć z wnioskami filozoficznymi, można by bardzo szybko stwierdzić, że skoro tak się sprawy mają, to natura ludzka jest właściwie płynna. Czy aby na pewno?

Trzy poziomy określenia natury

Pojęcie natury w filozofii jest wieloznaczne. Possenti zwraca uwagę na jego trzy aspekty (tamże, s. 117-118): natura jako *physis*, czyli to, co podlega ewolucji. Chodzi tu o wszelkie struktury objęte mechanizmami fizycznymi. Natura jako istota, czyli to, co określa byt i go definiuje. W tym rozumieniu należy postawić pytanie: dlaczego czło-

wiek jest człowiekiem? – ponieważ ma typowe dla niego cechy: intelekt, wolę, wolność, ciało, kulturę, którą tworzy. Trzecim aspektem pojęcia natury jest rozumienie jej jako wewnętrznej zasady działania i rodzenia. W tym sensie – zauważa Possenti – naturę mamy wspólną z każdą istotą żywą. Dzieje się tak, ponieważ każda istota żywa ma w sobie siłę ją organizującą i pozwalającą na rozwój i rozmnażanie.

Przyjąwszy takie rozumienie, nie dziwi krytyka Possentiego, który zauważa, że to, co tak naprawdę postuluje się jako zmienne, jest jedynie ludzką *physis*, czyli przypadłościami. Natomiast niezmienna pozostaje zawsze natura w rozumieniu istoty bytu oraz natura w rozumieniu siły życia i rozrodu. Człowiek nie byłby bowiem człowiekiem bez swojej istoty oraz wewnętrznej zasady organizującej jego procesy życiowe.

Transhumanizm – co i jak?

Ogólnie mówiąc, jest to ruch o charakterze naukowo-filozoficzno-politycznym, postulujący konieczność przemiany człowieka i jego natury za pomocą zabiegów technologicznych. Owa zmiana miałaby się dokonać na dwa sposoby: albo poprzez modyfikacje ludzkiego ciała przy pomocy wszczepów, implantów czy dodatków technologicznych, albo przez wzbogacenie ludzkiego DNA kodem genetycznym innego gatunku (postulat tzw. hybryd ludzko-zwierzęcych) (tamże, s. 132).

Possenti opisuje transhumanizm następująco: „Ważnym wariantem kryzysu pojęcia natury ludzkiej jest humanizm technofilski, połączony wielkim przymierzem z nauką i oczekujący w blasku nowych technologii na nadejście postczłowieka. [...] Tworzą galaktykę ruchu posthumanizmu, dla którego korzeniem cywilizacji Zachodu jest racjonalność naukowo-techniczna, ewentualnie powiązana z racjonalnością utylitarną, a przede wszystkim z libertyńskim pojęciem jednostki” (tamże, s. 129).

Z dość szorstkiej oceny transhumanizmu wyłaniają się co najmniej dwa problemy. Pierw-

szy dotyczy próby mieszania życzeniowych tez filozoficznych i politycznych z naukami przyrodniczymi. Transhumanizm jest bowiem koncepcją obecnie nie do zrealizowania. Wskazuje na to nie tylko zdrowy rozsądek, ale także liczni naukowcy mający wątpliwości względem postulatów transhumanizmu. Możliwe są jedynie drobne zmiany ludzkiego ciała, które wspomagają jego kondycję, a nie przekształcają je tak, że w pewnym sensie człowiek jest nie do poznania. Ciężko zresztą mieć coś przeciwko poprawie kondycji człowieka. Uważam, że w tym objawia się u nas łaska Boża, że w obliczu trudów i cierpienia innych nie wycofujemy się, ale tworzymy ogromne maszyny miłosierdzia, jak służba zdrowia, szpitale, przytułki i hospicja.

Drugim problemem, na jaki napotyka transhumanizm, jest niepewny filar filozoficzny. Niegodne zaufania jest jego przywiązanie do scjentyzmu (koncepcji, jakoby tylko wiedza naukowo-przyrodnicza była wartościowa), utilitaryzmu (postawy etycznej głoszącej, że liczą się tylko skutki naszych działań) i libertynizmu, absolutyzującego ludzką wolność pojmowaną jako swawolę. Są to stanowiska nie tylko łatwe do obalenia, ale również niemożliwe do przyjęcia jako zasady



źródło: Unsplash.com

powszechne. Bo cóżby miało wynikać ze scjentyzmu? Nauka nie rości sobie żadnych praw do bycia suwerenem w dziedzinie poznania. Ona wykonuje swoje, można powiedzieć, statutowe obowiązki. Utylitaryzm jest skuteczny w pewnych warunkach, pomaga oszacować, co się bardziej opłaca (np. w polityce czy ekonomii), ale nie stanowi pełnego wyjaśnienia dla faktu ludzkiej wolności i idącej za nią moralności.

Rozważania na przyszłość

Transhumanizm w mojej ocenie okaże się mniej więcej taką samą porażką jak średnio-wieczna alchemia i projekty tworzenia homunkulusów (sztucznych ludzi). Stanie się to za sprawą jego niedopatrzeń filozoficznych oraz życzeniowego myślenia. Popychanie techno-

logicznego rozwoju cywilizacji nie jest jedynym sposobem na rozwiązanie trapiących nas problemów.

Transhumaniści podają, że dzięki modyfikacjom będziemy mogli zażegnać liczne problemy, także natury moralnej. Zapominają jednak, że sfera moralności leży na poziomie ludzkiej woli. Dopatrując się w pracy mózgu analogii do komputera, nie uwzględniają tego, że współczesne badania i co bardziej śmiałe teorie wskazują, że ludzki mózg w ogóle nie przypomina komputera, ale raczej zbiór zjawisk kwantowych. Dla nas oznacza to tyle, że możemy spać spokojnie, nikt bowiem nie zdoła nam wmówić, że nie mamy wolnej woli. Aktualne pozostaną nadal problemy filozoficzne natury moralnej.



Listy Pielgrzyma



Tomasz
Leszczyński

Drogi Czytelniku, w cyklu listów, który trafia do Ciebie, rozważałem będą sprawy, które mogą głęboko dotknąć Twojego serca. Czytając je, być może odnajdziesz część siebie. Nie wiem tego na pewno, lecz – na samym początku naszej drogi – życzę Ci miłej lektury.

Sierakowice, 29.04.2017

„Boże, zabierz ode mnie to wszystko, błagam!”.

„Boże, ratuj mnie!”, krzyknąłem nagle zbudzony. Po raz kolejny widziałem we śnie tę samą scenę – wielka pusta przestrzeń wypełniona ludźmi, starcami w szarych szatach. Wszyscy próbują mnie złapać. I gdy już prawie mnie mają, zawsze krzyczę w ten sposób, budząc się niemal od razu. Kolejna nieprzespana noc. Spoglądałem wtedy na krucyfiks zawieszony na ścianie, mówiąc w myślach: „Boże, prosiłem Cię, byś mi pomógł, dlaczego tego nie robisz?”.

Zapewne znasz to uczucie doskonale, nieraz upadłeś, wpadłeś w problemy, od których ucieczki szukałeś tylko w Bogu.



źródło:Unsplash.com

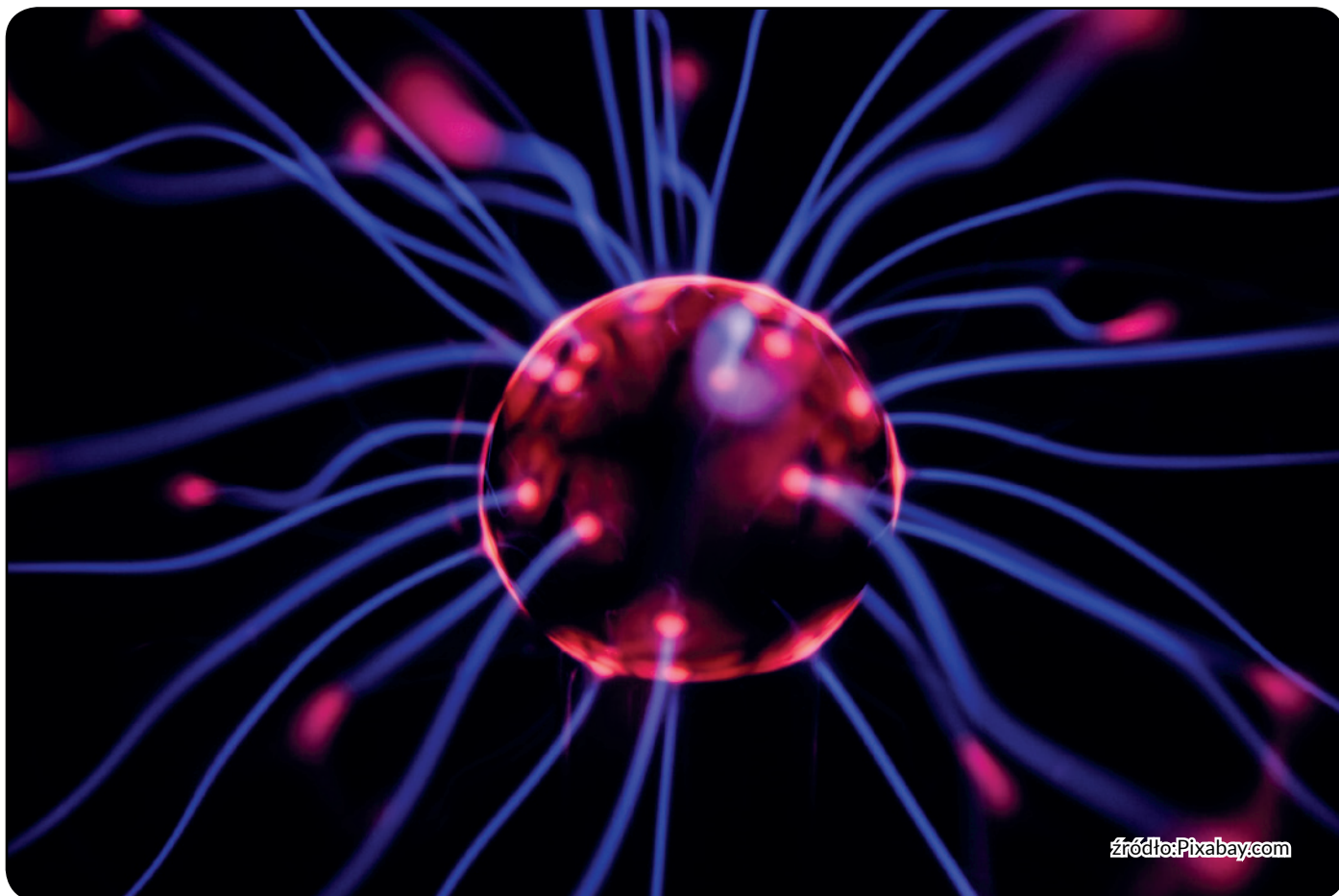
W tym samym czasie blady promień księżyca wyraźnie zaznaczył wszystkie rany Chrystusa. Spojrzałem na krzyż i zobaczyłem spokój Jezusa. Jego twarz skierowaną ku niebu. Wszystko zrozumiałem – muszę być taki jak On. Nie potrafiłem przecież naśladować Go „tak po prostu” – to nie było w moim stylu. Zadałem sobie pytanie – dlaczego tak jest? Dlaczego nie mogę być taki jak Chrystus?

Skruszony, niemal z rozpaczą klęknąłem do modlitwy. Od-

powiedź przyszła. Tkwi we mnie. W moim sercu. Patrząc na Niego, lecz nie jestem wystarczająco otwarty, by Go przyjąć. Do wykorzenienia mam tyle wad, które blokują mi zrozumienie Jego ofiary.

Wyobraź sobie, że teraz stał przed Tobą Chrystus i wyciąga do Ciebie swoje przebite ręce. Co zrobisz w tym momencie?





źródło:Pixabay.com

Czy atomy potrafią myśleć?



Jan Borowski

Z jednej strony trudno wyobrazić sobie, jak z cząstek rozrzuconych przez Wielki Wybuch na miliardy kilometrów mogły powstać istoty myślące. Jeśli jednak na sprawę popatrzymy z innej perspektywy – myślimy za pomocą układu nerwowego, głównie mózgu. A on składa się przecież z tkanek, białek, cząsteczek i pojedynczych atomów. Zadajemy więc pytanie: czy nasze istnienie może zostać sprowadzone do sumy błahych przypadków i elektrycznych impulsów? Na pomoc w rozwiązaniu tej zagadki nieoczekiwanie może przyjść matematyka...

Nad kwestią umysłu zaczęto rozmyślać już w starożytnej Grecji. I tak oto Platon stał się jednym z pierwszych filozofów optujących za istnieniem nieśmiertelnej duszy. Duszę miał rzecz jasna za doskonalszą od ciała, opisywał ją nawet jako uwięzioną w ciele, oczekującą na wyzwolenie.

Poglądu o istnieniu duszy nie zanegował Arystoteles, lecz postrzegał to pojęcie nieco inaczej. Była dla niego elementem ożywiającym, właściwym zwierzętom, roślinom i ludziom. Tym ostatnim przyznawał najwyższą jej formę – rozum, odpowiedzialny za

samoświadomość i zdolność logicznego myślenia.

Sporu ciąg dalszy

Kolejne stulecie przyniosło Platonowi godnego oponenta w postaci Epikura. Za Demokrytem zarówno ciało, jak i umysł

pojmował on jako przemijające, zbudowane tylko i wyłącznie z atomów. Co ciekawe, Epikurowi udało się uniknąć popadania w determinizm. Jest to pogląd głoszący, że wolna wola nie istnieje, a wszystkie wydarzenia, które mają miejsce w świecie, są efektem jakichś wcześniejszych wydarzeń, te znowu jeszcze wcześniejszych i tak dalej. Najczęściej jest on logicznym skutkiem przyjęcia materializmu. Dlatego też kontynuatorzy myśli Epikura najczęściej odrzucali istnienie wolnej woli. Człowieka porównywali na przykład do maszyny, która właściwie nie ma wpływu na to, co robi. Psychoanaliza widziała go jako zdeteminowanego przez przeszłość i społeczeństwo, a czynności psychiczne brała za efekt zmian poziomów pewnych substancji w mózgu.

Oponenci przyjmowali przeróżne, niekiedy zabawne wręcz, strategie argumentacji. Tak na przykład sławny Descartes, Kartezjuszem zwany, próbował pogodzić mechanycyzm swojej epoki z wiarą w chrześcijańskiego Boga. Ludzie – przyznawał – stworzeni zostali jako jedność duszy i ciała, ale te dwie części muszą być w jakiś sposób ze sobą połączone, jeżeli mają na siebie oddziaływać. Kartezjusz przekonywał zatem, że ten punkt łączący ducha z ma-



terią znajduje się w niewielkim ludzkim organie – szyszynce. Ten organ miał bowiem, jego zdaniem, odgrywać decydującą rolę w procesach poznawczych, w zapamiętywaniu i wyobrażaniu sobie rzeczy. Przypuszczenia te okazały się jednak fałszywe, nie tylko z punktu widzenia nauki współczesnej, ale nawet tej, którą uznawano w czasach tworzenia tej teorii.

Konstruktywnych wniosków brak

Błędu Kartezjusza pragnął uniknąć irlandzki biskup Kościoła anglikańskiego, George Berkeley. Aby obejść kłopotliwe zagadnienie, w jaki sposób niematerialny umysł miałby oddziaływać na jak najbardziej

materialny mózg, postawił odważną tezę. Cały świat istnieje wyłącznie w umysłach, tak samo jak złudzenia i halucynacje. Nie ma czegoś takiego jak materia, jest jedynie wrażenie materii. Istnieją więc wyłącznie dusze, wyłącznie umysły, a ciało jest tylko pewną sumą doznań. Te wszystkie umysły są natomiast zawarte i stworzone w jednym, wiecznym i wszechwiedzącym umyśle Boga.

Taki był system Berkeleya. Niektórzy z przekąsem twierdzą, że stworzył go tylko po to, by ostatecznie udowodnić istnienie Boga. Tak czy inaczej, nie można mu odmówić spójności, staje się on więc pewną alternatywą dla mechanycyzmu: nie ma podstaw, by przyjmować jeden



albo drugi. Nie ma także podstaw, aby którykolwiek z nich odrzucać. W rzeczywistości przekonanie co do materialności umysłu okazuje się być wiarą, kwestią indywidualnego wyboru. Ostatecznie stany mentalne, jak cały ten spór podsumowuje John Searle, zarówno mogą być powodowane, jak i powodować zmiany w ludzkim ciele. Nie mamy jednak powodu, by faworyzować którąkolwiek z tych opcji.

Matematycy próbują sił w filozofii

Gdy więc taki status quo wydawał się już ustalony, nieoczekiwanego argumentu dostar-

czyła matematyka. John Lucas i Roger Penrose (a niezależnie od nich również paru innych myślicieli), analizując twierdzenie Gödla, doszli do zaskakujących wniosków. Otóż umysł ludzki, jeśli ma być niesprzeczny, z konieczności musi wykraczać poza sferę materii. Aby zrozumieć, co mieli na myśli, musimy chociaż pobieżnie przyjrzeć się wspomnianemu twierdzeniu. Podłożem do jego powstania był kryzys, który napotkała matematyka na początku XX wieku. W podstawowych teoriach matematycznych odkryto sprzeczności i nikt tak naprawdę nie wiedział, w jakim stopniu można ufać pozostałym. Pojawił się więc pomysł udowodnienia

niesprzeczności matematyki, a przynajmniej arytmetyki.

Szybko okazało się jednak, że taki dowód dla arytmetyki liczb naturalnych (i każdego systemu ją zawierającego) jest niemożliwy. Kurt Gödel wykazał, że te systemy matematyczne są albo sprzeczne, albo niezupełne (gdzie zupełność oznacza, że wszystkie zdania tego systemu są dowodliwe). Nie zagłębiając się w dość skomplikowany technicznie dowód, wystarczy wspomnieć, że udało mu się w języku arytmetyki zapisać zdanie brzmiące: „To zdanie jest niedowodliwe”. Zauważmy, że zachowuje się ono w dość specyficzny sposób. Gdyby było ono do-

wodliwe, w arytmetyce pojawiłoby się zdanie sprzeczne, musi być więc ona niezupełna.

Mózg jak komputer

To, że twierdzenie Gödla będzie miało jakiś wpływ na filozofię umysłu, podejrzewał już sam jego twórca. Otóż umysł ludzki daje się z powodzeniem przyrównać do maszyny liczącej. Na tym założeniu opierają się przecież maszyna Turinga i próby stworzenia tak zwanej sztucznej inteligencji. Taka maszyna, a co za tym idzie również umysł, zawiera w sobie arytmetykę liczb naturalnych. Dotyczy ich więc przedstawione wyżej twierdzenie. Umysł oraz komputer są albo wewnętrznie sprzeczne, albo niezupełne – to znaczy, że muszą mieć jakieś uzupełnienie „z zewnątrz”.

Gödel nie odważył się jednak wyrazić tego poglądu w środowisku akademickim i zdradzają go jedynie jego prywatne notatki oraz korespondencja. Pomysł podchwycili jednak inni myśliciele i wkrótce wykrystalizował się on pod nazwą argumentu Lucasa-Penrose’a. Wielu podchodziło do niego z entuzjazmem, jako do ostatecznego argumentu na rzecz istnienia umysłu ponadcielesnego, a może nawet duszy. Fascynacja ta była jednak niestety przedwczesna.

Mamy tu bowiem do czynienia z równoważną alternatywą: albo, albo. I choć wydaje się to skrajnie nieintuicyjne, nie możemy na dobrą sprawę udowodnić, że nasz umysł sprzeczny nie jest. Okazuje się zatem, że wciąż nie istnieje wystarczający argument przeciwko materializmowi. Jeżeli ktoś chce, może wierzyć, że umysł ludzki jest wyłącznie materialny – wówczas musi się zgodzić na konsekwencje swojego twierdzenia, czyli przyjąć sprzeczność umysłu.

Pytanie bez odpowiedzi

Jak to w filozofii bywa, również w tej kwestii nie udało się nigdy wypracować jednego stanowiska. Nie zanosi się także, by ostatecznie przesądzać

argumenty zostały podniesione w najbliższych dekadach. Mimo że nauka dostarcza coraz to nowych danych dotyczących mózgu, na temat istnienia niematerialnego umysłu się nie wypowiada. Filozofowie natomiast interpretują jej wyniki na tak wiele sposobów, że trudno będzie o konsensus. Tak jak już kilkakrotnie w tym artykule podkreślono, jest to jedna z tych kwestii należących raczej do sfery światopoglądu, wiary, którą można przyjąć albo odrzucić. Ludzie jeszcze długo, o ile nie zawsze, będą dzielić się na zatwardziały materialistów i na tych, którym, mówiąc słowami poetki, „wolność w głowie, wszechwiedza i byt poza niemądrym mięsem” (W. Szymborska, *Sto pociech*).



źródło: Pixabay.com